

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecej

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 12 LUTEGO 1927 ROKU

NR 7

TREŚĆ NUMERU: W walce z wrogiem ludzkości — Z. B. Dla cudzej ojczyzny — *And.* W Chinach' — *m. b. ł.* Zrózniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska.* Bieg tysięczny panny de Plemeur — *Henry de Montherlaut* (tłum. Teresa Tatarkiewiczowa). Wiersze: „Księżyc zimny i dumny...“, „Księżyc promieni swoich...“, „Wiatr uderzył“, „Posąg Aurory w Łazienkach“ — *Zofja Rościszewska.* Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.) — *Helena Ceysingerówna.* Zuzanna ze Strzembosów Ożarowska (c. d.) — *Zofja Łosiowa.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Winniśmy znać się wzajemnie — *Aniela Chmielewska.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé.* W sprawie drożyzny — (dok.) *C. r.* Praca sportowa w halach gimnastycznych i w domu (dok.) — *K. M.* Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — *Dr. med. Julja Świtalska.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Kącik gospodarski. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Kostjumy wiosenne. Szal wełniany przybrany szydełkowymi kwiatami. Wózeczki dziecinne. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety anamicke“ — *C. Chivas-Bazan* (tłum. Dr. M. Kasterska). Arkusz wzorów.

W WALCE Z WROGIEM LUDZKOŚCI

Po raz pierwszy w życiu usłyszałam słowo „gruźlica“ w gabinecie jednej z największych powag lekarskich Warszawy. Siwy, poważny profesor ukończył właśnie długie i bardzo szczegółowe badanie, podczas którego cierpliwość moja — liczyłam wówczas lat szesnastcie! — doszła już do ostatecznych granic wytrzymałości. W chwili, gdy oddychałam z ulgą, uszczęśliwiona, że się to już raz nareszcie skończyło — od strony biurka padło krótkie, dobitnym głosem wypowiedziane zdanie, skierowane jakby nie w stronę mojej opiekunki, wpatrzonej w słynnego lekarza zatroskanym wzrokiem, lecz gdzieś w daleką przestrzeń, poza murami pokoju:

— Siostrzenica pani jest zagrożona gruźlicą. Uważam za konieczny natychmiastowy wyjazd do Zakopanego.

Nie rozumiałam wówczas niebezpieczeństwa. Słowo „gruźlica“ wydało mi się czemś nowem i interesującym. Skądże miałabym wiedzieć? U nas, na Litwie, chorych na płuca nazywano poprostu suchotnikami. Gruźlica musi być czemś bardzo miłym, jeśli pociąga za sobą konieczność wyjazdu „w szeroki świat“. Zagrożenie ową chorobą wydało mi się wtedy prawie błogosławieństwem losu.

* * *

I rozpoczęły się lata tułaczki po świecie. Zakopane, Tyrol, Szwajcaria, Abbazia, Włochy, Riviera. A wszędzie — pomimo różnic w klimacie, krajobrazie, otoczeniu — to samo: rzędy leżaków na werandzie. Długie godziny ciszy i nieruchomości, z wzrokiem

utkwionym w skaliste złomy gór (o Jungfrau, Dent du Midi, i ty, najcudowniejszy ze wszystkich, Gewoncie!) lub w ruchliwe, błękitne fale morza. A wieczorem — gdy wszystkie „gruźliki“ zejdą się w salonie pensjonatu, — zabawa wesoła i tak pozornie beztroska, intrygi miłosne i flirty, dysputy poważne i lekkomyślne przekomarzenia się, koncerty amatorskie, deklamacje, śpiewy... I oto — pomimo podłoża tragizmu — cały ten tłum wesoły, rozbawiony, wydaje mi się szczęśliwym.

Cóż stąd, że tu i owdzie słyszy się o jakimś „nieszczęśliwym wypadku“, że temu lub owemu lekarze poradzili wracać czempredziej do kraju, bo tutaj „klimat mu nie służy“, że taka mała, czternastoletnia dziewczynka, o twarzy anioła grającego z obrazu Mehoffera dostała dziś w nocy „całkiem niespodzianie“ — krwotoku... Wszystko to prawda, ale pozatem... Gdy się ma lat osiemnaście i słońce świeci tak jasno, a mimozoy błyszczą na tle szafirowego morza, jak złote drzewa z bajki — słowo „gruźlica“ nie wydaje się tak straszne! Jeśli w jednym miejscu kuracja nie daje pożądanego wyniku — jedzie się w drugie, a po drodze jest tyle ciekawych rzeczy do zobaczenia. Medjolan ze swymi galerjami i Palazzo Sforzesco, Genova la Superba, Werona, gdzie w gotyckim grobowcu śpią kochankowie Szekspira. Padwa z uniwersytetem i bazyliką „del Santo“. I najpiękniejsze miasto na świecie — czarodziejska królowa morza, Wenecja...

Doprawdy, z tej strony oglądana, gruźlica zdaje się poniekąd potwierdzać zdanie, jakie o niej miano

w epoce romantyzmu: jest to prawie, „choroba poetyczna“...

* * *

Po sześciu latach wędrówki po różnych uzdrowiskach, przyszedł nareszcie dzień, w którym inna „sława“ lekarska uznała mnie za zupełnie wyleczoną. Wracałam do kraju, nad którym gromadziły się już chmury przyszłej wojny.

Rok 1915 zastał mnie w Warszawie, dokąd schroniłam się przed dławiącą atmosferą „szerokotorowej polityki“, panującej wówczas wszechwładnie na Kresach. Do naszego ustronnego dworu przenikały tylko wieści jaknajbardziej urzędowe o zwycięstwach „naszej armji“ w galicji. Wiatr od Karpat, przelatujący przez mój ogród, szeptał mi jednak co innego. Wiedziałam napewno, że śpiący rycerze tatrzańscy zbudzili się i walczą o ziemię polską z najeźdźcą. Czułam, że trzeba mi być w pogotowiu, aby powitać orły nasze, gdy zaszumią skrzydłami nad ulicami Warszawy. Z tą wiarą jechałam do stolicy. Widowym zaś, praktycznym celem mej podróży była chęć zapisania się na kursy sanitarne.

Znajomy lekarz, wspomniawszy o przepełnieniu szpitali wojskowych sanitariuszkami-ochotniczkami, skierował mnie do szpitalika dziecięcego im. Karola i Marji. Pierwsze wrażenie przy wejściu do ambulatorjum: ileż tu dzieci! Skąd tyle chorych dzieci w Warszawie? Niemowlęta na rękach matek i małeństwa dwu, trzyletnie, dzieci starsze, dorastające... Wszystkie to owinięte bandażami, blade, wyniszczone. Wszystkie mają na rękach, nogach, twarzy, głowie straszne, ropiejące rany. Doktor i sanitariuszki rozwijają zrećnie bandaże, oglądają rany, przemywają, bandażują znowu.

Co to jest? Co za straszna choroba okryła ranami te biedne, wychudzone ciała? Na moje pytające spojrzenie odpowiada doktor: „90% tych wszystkich chorych—to dzieci gruźliczne“.

Zawirowały myśli pod czaszką. Ach, więc to tak? Teraz już wiem, jak wygląda ta „druga strona“ gruźlicy. Machinalnie rozwijam bandaż, podczas gdy małeńka, czteroletnia Jadzia patrzy na mnie ogromnymi, szafirowymi, o długich, podgiętych do góry rzęsach, oczami. Cała twarzyczka dziecka jest jedną raną i tylko te oczy... „Typowe oczy gruźlicze“ mówi doktor. Wpatrzony są one w tej chwili we mnie, te oczy, z taką przeraźliwą, nie-dziecięcą trwogą. Dziecko tak strasznie się boi, że ta młoda pani w białym fartuchu nie potrafi dość ostrożnie odwinąć przepaski z obolałej rany. „Nie sprawisz mi bólu?“ pytają te umęczone oczy. Odwracam głowę, ledwie powstrzymując

łzy: to nad moje siły... Ale to trwa tylko sekundę. Za chwilę już odwijam bandaż z obolałej główki powolutku, ostrożnie, z pieczołowitością matczyną—a serce zbiera modlitwę: „Przebacz mi, Boże, mój egoizm i zaślepienie — i ty, biedna dziecino, przebacz mi także...“

* * *

Ileż to razy potem, wędrując wśród zaułków przedmieść i dzielnicy robotniczej Warszawy — na Karolkowej, Wolności, Górczewskiej, na Królewskiej drodze hen, aż za Wolą, widziałam te dzieci gruźliczne, wyhodowane w piwnicach, na facjatkach, w ciemnych, norach pełnych zaduchu i brudu! Wtedy to—patrząc na te blade, niedziecinne w swym bolesnym, przedwcześnie dojrzałym wyrazie, twarzyczki, rozumiałam jasno, że najstraszliwszemu ze wszystkich wrogów ludzkości na imię — gruźlica.

Jak walczyć z tym wrogiem? Co robić, by go pokonać, by wyrwać mu setki tysięcy istot, od kolebki już na śmierć męczeńską i powolną skazanych? W jaki sposób zapobiegać dalszemu szerzeniu się straszliwej choroby?

Nie zwalczą jej wysiłki, ani jednostek, ani nawet całego społeczeństwa, choćby wszyscy w niem stanęli do pracy. Pokolenie za pokoleniem wykorzeniać musi wytrwale, świadomie, ofiarnie straszną zaródź nieszczęścia. Walki tej nie wolno lekceważyć, nie wolno nikomu się od niej usuwać, nie wolno zaniedbywać żadnego środka, który mógłby się okazać skutecznym. A jednak — ilu wśród nas interesuje się temi zagadnieniami? Ilu popiera czynnie Towarzystwa Przeciwgruźlicze, przychodnie, sanatorja dla chorych piersiowo?

Sanatorja! Żal się Boże, ileż my ich mamy — a ile mieć ich potrzeba! Niestarczy ich nawet na pomieszczenie bodajsetnej części wszystkich chorych. Pamiętajmy zaś, że gruźlicę zapóźno jest leczyć, gdy się rozwinie—trzeba jej zapobiegać przez stwarzanie zagrożonym nią jednostkom takich warunków, aby mogły one uodpornić swój organizm i niedopuszczyć do rozwinięcia się choroby.

Zanim powstaną w Polsce setki, tysiące zakładów przeciwgruźliczych, wydaje mi się koniecznym przenoszenie na nasz grunt tych wszystkich urządzeń, które w celach walki z gruźlicą powstają w innych krajach, a które są nam dostępne przy naszym braku środków finansowych.

Jednym z takich urządzeń, bardzo nadających się do przetransplantowania na nasz grunt, bo dającym bardzo duże rezultaty, przy stosunkowo małej ilości nakładów pieniężnych—są tak zwane „domy wypoczynkowe“, powstałe przed



kilku laty w Holandji. Budowaniem ich zajmuje się Towarzystwo Domów Wypoczynkowych, założone w r. 1920, z inicjatywy pewnego lekarza holenderskiego i pozostające pod patronatem Holenderskiego Czerwonego Krzyża.

W celu budowania takich domów wypoczynkowych (zwanych także domami dla ozdrowieńców, o tyle niesłusznie, że ci ostatni stanowią zaledwie pewien procent kuracjuszków tych zakładów) wyzyskiwane są w Holandji parki miejskie, chodzi bowiem o to, aby 1) koszt budowy takiego zakładu był jak najniższy, 2) aby był on dostępnym dla ubogich mieszkańców środowisk wielkomiejskich.

Sam „dom“ — to właściwie duży barak drewniany, zaopatrzony z jednej strony w długą krytą werandę, na której ustawione są rzędem leżaki i łóżka polowe. Reszta budynku zawiera pokój na biuro, szatnię, kuchnię, łazienkę etc. Personel zakładu stanowią: wykwalifikowana pielęgniarka, zarazem kierowniczka zakładu, jej pomocnica i służąca-kucharka. Lekarz-ordynator odwiedza codziennie zakład, bada pacjentów i notuje zmiany w ich stanie zdrowia, oraz określa długość kuracji (przeciętnie 6 — 8 tygodni). Większość kuracjuszy — to albo ozdrowieńcy, wychodzący ze szpitala po dłuższej chorobie, lub też ludzie słabi, przepracowani, cierpiący na anemię, wyczerpanie nerwowe, psychastenję. Najliczniejszą jednak kategorię stanowią osoby, skierowane do tych zakładów przez Ligę Przeciwgruźliczą, o ile posiadają świadectwo lekarza, że stan zdrowia ich nie może spowodować zakażenia innych chorych. Warunek ten jest bardzo ważny, gdyż Domy Wypoczynkowe mają w stosunku do gruźlicy jedynie misję profilaktyczną, nie zaś leczniczą — zapobiegają chorobie, pozostawiając leczenie jej specjalnym sanatorjom.

Zakład, stojący z zasady w ustroniu, odgrodzonym od publiczności miejscu parku, otwiera się o godz. 9^{1/2} rano, aby dać możliwość kuracjuszkom, posiadającym własne rodziny, spełnienia przedtem obowiązków gospodarczych i domowych. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że Holenderski Związek Kobiecicy Pomocy Gospodarczej dopomaga niezamożnym chorym, wysyłając swe wizytatorki, które przez czas trwania kuracji przychodzą codziennie do domu chorej, gotują obiady, sprzątają mieszkanie, opiekują się dziećmi i t. d.

Regulamin dnia w Domu Wypoczynkowym jest następujący: o 10 zrana chorzy dostają szklanke gorącego mleka, o wpół do 11 kawę, lub kakao, o 11 znów gorące mleko. Od 11 i $\frac{1}{2}$ do 12 wszystkie kobiety idą na przechadzkę po ogrodzie, od 12 do 12 i $\frac{1}{2}$ spa-

cerują mężczyźni. O 12 i $\frac{1}{2}$ podaje się obiad, składający się z zupy mięsnej i jarzyny, od 1 i $\frac{1}{2}$ do 2 i $\frac{1}{2}$ — silentium, i, o ile możności, poobiednia drzemka na leżakach. O 2 i $\frac{1}{2}$ znów gorące mleko, o 3 podwieczorek (herbata, chleb, masło), od 3 do 3 i $\frac{1}{2}$ ćwiczenia gimnastyczne dla kobiet, od 3 i $\frac{1}{2}$ do 4 także ćwiczenia dla mężczyzn. O 4 mleko, o 5 zakład się zamyka i pacjenci wracają do domów, spożywszy przez ten czas przeszło litr gorącego mleka.

Rezultaty takiej sześciotygodniowej kuracji bywają w większości wypadków wprost znakomite. Słabe, przemęczone, niedostatecznie odżywione organizmy nabierają siły, wypoczywają nerwowo i fizycznie. Dla pożytku kuracjuszy i urozmaicenia im czasu niektóre Domy wprowadzają u siebie pewne rozrywki, np. odczyty, koncerty, raz lub dwa razy w tygodniu, dzieci w wieku szkolnym mają 2 — 3 godziny lekcji tygodniowo.

Domy wypoczynkowe funkcjonują przez cały rok; w zimie kuracjusze otrzymują ciepłe koce i kamionki z gorącą wodą do grzania nóg. Stwierdzić trzeba, że frekwencja zakładów nie obniża się nigdy, nawet przy najmniej sprzyjających warunkach atmosferycznych.

Pierwszy taki Dom powstał w maju r. 1923 w jednym z amsterdamskich parków miejskich. Jesienią tegoż roku urządzono w tem mieści podobny zakład kuracyjny na pokładzie starego okrętu wojennego „Wilhelmina“, stojącego w przystani nadrzecznej. Na początku 1925 r. otwiera się taki sam Dom w Rotterdamie, również w jednym z parków miejskich; później powstają inne w Haarlemie, Leeuwarden etc.

Koszt utrzymania zakładu i kuracjuszków jest bardzo nieznaczny w porównaniu chociażby z kosztami szpitalnymi. Coprawda, dotychczas wszyscy lekarze, ordynujący w Domach wypoczynkowych, pełnią swe obowiązki zadarmo.

Czy naprawdę tak trudno znaleźć ludzi dobrej woli, którzy dopomogliby i u nas do powstania podobnych instytucyj? Gdybyż w każdym parku naszych wielkich miast — Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie — powstały takie Domy wypoczynkowe, w których słabe, wątłe dzieci i ludzie pracujący, a nie mogący sobie pozwolić na wyjazd nietylko już na Rivierę, ale nawet do krajowego uzdrowiska — odzyskiwaliby siły i zdrowie!

Rzucam myśl — może ją kto podejmie? Może wśród czytelniczek „Bluszczu“ znajdą się takie, które chciałyby czynnie się zainteresować tym problemem i stworzyć pierwsze w Polsce „Towarzystwo Domów Wypoczynkowych“.

Z. B.



DLA CUDZEJ OJCZYZNY

Dosyć rzadkiem, ale niezmiernie interesującym zjawiskiem bywa miłość entuzjastyczna dla cudzej ojczyzny. Czasem wiąże się to z poczuciem wspólności interesów dwu narodów, dwu krajów, dwu państw, ale czasem bywa zupełnie bezinteresowne, a nawet idące wbrew interesom własnego Państwa. Przychodzi mi tu na myśl nazwisko Jacobiego, Rosjanina, który zginął za sprawę polską w r. 1863.

Jakie tam w takich wypadkach działają tajemnicze przyczyny — któż wie?...

Francję z Polską łączyły od wieków węzły wspólności interesów politycznych. Nie potrzebowała więc pani Roza Bailly staczać w sobie wewnętrzną walkę, gdy nagle z pokładów podświadomości zrodziła się w niej miłość dla Polski. Zaszczepiła ją poprostu na płonące swego francuskiego patriotyzmu.

Niemniej, zjawisko jest niezmiernie ciekawe i niezwykłe, bo szczep ten rozrósł się w drzewo o wspaniałej koronie, wydającej nie tylko kwiat, ale i realne owoce czynów

Przypomnijmy, jak to było. W czasie wielkiej wojny nieznaną szerszemu światu, skromną nauczycielką gimnazjum w jednym z prowincjonalnych miast Francji czytuje z zapalem dzienniki. Fascynuje ją straszny obraz świata, zlanego krwią, pokrytego gruzami ruin, przejmującą zgrozą los tysięcy rodzin tułających, tysięcy dzieci bezdomnych, ginących z głodu i opuszczenia. Dokoła niej entuzjastują się wszyscy do Belgji, do jej opuszczonych dzieci, do jej sierot.

Wtedy w głowie młodej nauczycielki błyska nagle myśl: a Polska?! Ta — tysiąc razy srożej zniszczona, ta — rozdarta między trzy mocarstwa, ta — oddawna wyciągająca ręce z mogiły, w której ją żywcem zakopano?

Dlaczego dla niej tak mało współczucia, pomocy, entuzjazmu?...

Pani Roza Bailly jest córą ludu francuskiego. Za myślą następuje u niej zaraz czyn.

W szkole, w której pracuje, organizuje pierwszą grupę „Przyjaciół Polski“. Młodzież francuska łatwo przejmuje się ideą braterstwa. Dawnych tradycji przyjaźni i polsko-francuskiego koleżeństwa broni nie zdołało nigdy całkowicie wytrzebić przymierze z carem. Zwłaszcza Francja Bonapartystowska, czcicielka sławy i wielkości, tradycji tej przechowywała zawsze strzęp krwawy, coś jakby zblakłą chorągiewkę lancierów polskich...

Do tych tradycji, do tych sentymentów odwołuje się pani Bailly.

Powstają i w innych szkołach, i w innych miastach grupy pod nazwą „Les amis de la Pologne“ Zadaniem ich pierwszym — niesienie pomocy dzieciom

polskim. Młodzież francuska ofiarowuje na ten cel swoje oszczędności. Organizacja rozrasta się szybko, wybiega poza sfery młodzieży, a gdy zegar dziejów bije dla Polski godzinę niepodległości, organizacja francuskich „Przyjaciół Polski“ obejmuje już liczne środowiska, liczy w swoich szeregach profesorów, deputowanych, literatów, artystów i t. d.

W r. 1921 organizacja wydawać zaczyna miesięcznik ilustrowany p. n. „Les amis de la Pologne“. Redakcja stawia sobie za cel szerzenie w społeczeństwie francuskim wiadomości o Polsce, jej bogactwach naturalnych, jej produkcji rolnej i przemysłowej, jej kulturze, literaturze, sztuce. Redaktorką pisma jest p. Roza Bailly.

Przerzucam zeszyty miesięcznika od 21 r. do chwili obecnej.

Czegóż tam niema?

Biezące wiadomości polityczne z Polski, wspomnienia historyczne, tłumaczenia autorów polskich. Jest Sienkiewicz, Fredro, Żeromski, Asnyk, Konopnicka.

Jest szczególnie wiele tłumaczeń Słowackiego i wogóle kult Słowackiego szczery i głęboki. Tłumaczą Polacy i polako-francuzi, wnuki i prawnuki wielkiej emigracji. Wśród tłumaczeń tych zwraca uwagę współpracowniczkę „Bluszczu“, p. L. Knollówny, przekład wiersza „Na sprowadzenie zwłok Napoleona“. Przedziwny czar tego wiersza, w pewnej przynajmniej mierze, nie ulotnił się w procesie przekładu.

Znać, że Redakcja stara się wywiązać jaknajlepiej z obowiązku uświadamiania Francuzów o gospodarczych walorach Polski. Saliny Wieliczki, szyby naftowe Borysławia, kopalnie Górnego Śląska — wszystko to widzimy na ilustracjach. Spotykamy też reprodukcje fotograficznych zdjęć krajobrazów, pałaców, kościołów, muzeów polskich, arcydzieł sztuki malarskiej. Jest Grotger, jest Matejko, są malarze doby Stanisława Augusta.

Wogóle, powtarzam, czegoż tu niema w tych zeszytach obcego miesięcznika? O wszystkich naszych mękach i wysiłkach obronnych: o tajnym nauczaniu, o szkole rosyjskiej, o Wrześni. Z rzeczy współczesnych, nowych jest nawet artykułik, poświęcony polskiej kobiecie w Warszawie.

Nie pominięto, oczywiście, w miesięczniku artystycznego przemysłu polskiego, którym tak entuzjastycznie się Francja, nie pominięto strojów i typów ludowych. Życiu polskich robotników we Francji poświęca się pełne życzliwości i zainteresowania artykuły, zwiedza się ich siedziby, robi z nimi wywiady i, oczywiście, zachwyca liczebnością tych rodzin polskich, żywotnością tej rasy.

Ale p. Roza Bailly nie poprzestaje na tej serdecznej i gorącej propagandzie polskości. Podejmuje ona i akcje o politycznym znaczeniu. Tak np. po plebiscycie na Śląsku w r. 1921, gdy ważyły się na konferencji ambasadorów losy Górnego Śląska, towarzystwo „Les amis de la Pologne“ organizuje szereg konferencyj na ten temat i zdobywa setki tysięcy podpisów na rzecz przyłączenia Górnego Śląska do Polski.

Podpisy te, przesłane Radzie ambasadorów, reprezentowały opinię Francji i nie były pozbawione znaczenia i wpływu na przebieg sprawy.

Działalność Towarzystwa idzie również w kierunku francusko-polskiego zbliżenia przez organizowanie wycieczek do Polski, przesyłek książek francuskich dla Towarzystwa „Przyjaciół Francji“ w Polsce, przez wymianę podarków i listów między uczniami polskich i francuskich szkół i przedszkoli i t. d.

Sama p. Bailly trzy razy odwiedzała już nasz kraj, raz ostatni w roku ubiegłym.

Myśl jej i dusza są ciągle przy Polsce. Podziwiać trzeba nie tylko nadzwyczajną rzutkość i energję tej działaczki, ale i rozległą skalę jej zainteresowań. Przejmuje się ona najżywiej wszelkimi zagadnieniami życia polskiego: Gdańsk, tereny kolonjalne dla emigracji polskiej, — oto np. kwestje, do których rozwiązania w najbliższej przyszłości pragnęłaby się przyczynić. Oto, co jej nie daje spać, a co z taką

obojętnością traktujemy nieraz my sami. Prócz miesięcznika, Towarzystwo „Les amis de la Pologne“ wydało już cały szereg broszur, poświęconych sprawom polskim.

A teraz, nie sądźmy, że Towarzystwo „Les amis de la Pologne“, to coś w rodzaju usychających grup „Przyjaciół Francji w Polsce“. Wprost przeciwnie! To są organizacje żywotne, podejmujące coraz to nowe prace.

Komitet Centralny Towarzystwa mieści się w Paryżu (16 rue de l'Abbé de l'Épée Paris 50). Grupy prowincjonalne znajdują się w Wersalu, Rennes, Nantes, Laval, Soissons, Mulhouse, Colmar, w Strasburgu, Metz, Marsylji, Tulonie, Montpellier, Arles, Avignone, Albi, Besançon, Cognac, Beziers, Saint-Omer, Charleville, Havrze, Châlons sur Marne, Troyes, Chatauroux, la Rochelle, Nimes, Cherbourg, Bordeaux, Tuluzie, Nancy, Cannes i t. d., wreszcie w Algerze i Tunisie. Bardzo liczną i ruchliwą jest grupa w Algerze. Towarzystwo w ostatnich czasach rozszerzyło się na Belgię i Szwajcarję. Nadto istnieje we Francji cały szereg grup szkolnych, zaliczających się do Towarzystwa, i komitetów studenckich, kolonjalnych, byłych wojskowych i t. p.

Istnieje wreszcie najpoważniejsza ze wszystkich grupa parlamentarna przyjaciół Polski.

Duszą całej tej rozległej akcji jest jedną z najlepszych, choć tylko przybranych, cór Polski. *And.*

W CHINACH



rześniowy numer miesięcznika The Labour Woman (Kobieta Pracy) podał ciekawy artykuł pióra pułkownika Malone, który świeżo powrócił z podróży w celach naukowych do Chin. Autor ujawnia w oświetleniu Europejczyka mnóstwo szczegółów z dziedziny zarobkowania i bytu współczesnych Chinek. Wobec szybkiego rozwoju przemysłu włókienniczego w tym kraju, warunki, w jakich pracują i zarobkują Chinki, są podwójnie interesujące dla krajów, eksportujących wyroby włókiennicze, w tej liczbie — dla Polski.

Poziom życia robotników chińskich jest, jak wiadomo, tak niski, jak robotników żadnej innej narodowości. Odpowiednio też wyglądają warunki pracy kobiet, które zatrudniane są masowo w tkalniach jedwabiu i bawełny, jak również w charakterze kulisów (tragarzy), oraz przy spławie na rzece Perłowej.

Chińskie fabryki bawełniane odpowiadają swym wyglądem i urządzeniem wewnętrznym analogicznym

zakładom europejskim i amerykańskim. Jedyną różnicę stanowi wysokość warsztatów tkackich, które obliczone są tam na obsługę ich przez dzieci. Poza to nowsze fabryki, w świeżo powstałych ośrodkach przemysłowych, odpowiadają przeciętnym naszym wymaganiom techniki i higieny.

Autor opisuje szczegółowo jedną z takich tkalni, wzniesioną w 1921 r. nad brzegiem Yang-Tse-Kiangu i zatrudniającą 2.300 osób, w tej liczbie 1000 kobiet i tyleż dzieci. Dyrekcja fabryki zapewniała zwiedzającego ją Anglika, jakoby wszystkie te dzieci liczyły powyżej lat dwunastu, odpowiednio do wymagań, stawianych Chinom, Japonji, Indjom i innym krajom pozaeuropejskim przez Międzynarodową Organizację Pracy. Jednakże wygląd pracujących dzieci nie potwierdzał bynajmniej tego zapewnienia, gdyż wiele z pośród nich czyniło wrażenie najwyżej ośmioletnich.

Praca w chińskich zakładach włókienniczych odbywa się przez całą dobę bez przerwy, na dwie zmiany

po 12 godzin. Co dziesięć dni przypada jedna doba przerwy—dla czyszczenia i smarowania maszyn. W ten sposób pracujący mają 3 dni świąteczne na miesiąc. Przerw obiadowych niema wcale. Posiłek, który stanowi garstka sakramentalnego ryżu, spożywa się podczas pracy.

Niektóre matki przynoszą do fabryki swe niemowlęta i umieszczają je, gdzie się da, najczęściej na podłodze, między warsztatami. Innym przynoszą dzieci do karmienia, które również odbywa się przy warsztacie. Wszystko to dzieje się mimo formalnego zakazu niewprowadzania niemowląt do wnętrza zabudowań fabrycznych.

Zarobki w przemyśle bawełnianym są niesłychanie niskie. Robotnica zarabia średnio na naszą waluę około 1 zł. 10 gr. za 11½ do 16 godzin pracy na dzień.

W przemyśle jedwabnym pracują niemal wyłącznie kobiety i dzieci. Rozkręcanie kokonów dokonuje się po uprzednim zanurzeniu ich w gorącą wodę, przyczem robota podzielona jest w ten sposób, że dwie robotnice dorosłe, rozwijające przędzę, która osnuwa poczwarkę jedwabnika, mają do pomocy jednego malca. On właśnie zanurza kokony we wrzątku. Wstrętne wyziewy z uśmierconych poczwarek, pomieszane z gorącą parą, napełniają salę, w której prócz starszych dzieci pracujących, czołga się, leży, siedzi mnóstwo niemowląt. Natomiast w zestawieniu z fabry-

kami bawełnianymi, przeróbka jedwabiu przedstawia te korzyści, że niema przy niej pracy nocnej, a istnieje krótka przerwa na posiłek. Obie te okoliczności dodatnie mają swe źródło we względach natury technicznej, nie zaś socjalnej, manipulacja z jedwabiem wymaga bowiem światła dziennego i jednocześnie obu rąk przy pracy.

W prowincjach południowych kobiety-kuliski ciągną olbrzymie ciężary. Nieraz są one zaprzężone we dwie do jednego wózka, na którym piętrzą się sztuki materiałów na odzież, sztaby metalowe, kamienie, cegły, drób, świnię. Biegną one tak przez kręte, gwarne ulice Kantonu, śpiewając osobliwą, monotonną i rytmiczną melodię.

W Hongkongu widuje się na każdym kroku na rzekach ciężkie łodzie.

U wiosł siedzą kobiety. Niejedna ma na plecach przytroczoną dziecinę.

Wyroby, produkowane i transportowane przy takim wyzysku tanich sił kobiecych i dziecięcych, czy to eksportowane, czy na rynkach chińskich, mogą, wobec niskich kosztów produkcji, skutecznie konkurować z takimi samymi towarami krajów nowej cywilizacji. I tutaj leżą właściwe zadania Międzynarodowej Organizacji Pracy, która, nazajutrz po zakończeniu największej i najkrwawszej wojny, została utworzona pod hasłem: praca ludzka nie może być traktowana, jak towar. Tem mniej praca dzieci i matek. m. b. ł.



C. WALEWSKA

5

ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

POWOJENNI OJCOWIE

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet“.

Widywało się dawniej robotników, rzemieślników, drobnych kupców, sklepikarzy, jak na spacerze brali z rąk zdyszanej połowicy kukielkę w chustkach, lub pelerynie, i nieśli ją, póki nie zaczęła krzyżeć, że chce do mamusi, albo też, rozbijając kokon owinięć, rzuciła się ku matce, która musiała ją wziąć rada nie rada.

Dziś trochę inny obraz. Rzemieślnik, robotnik drobny kupiec, sklepikarz, ale prócz niego także i inteligent—urzędnik, przemysłowiec, artysta — sadza kukielkę do wózka i ciągnie ją na

zmianę z małżonką, lub starszą córeczką, która rwie się do tego. Bywa jednak, czego nie bywało dotąd, że młody pan o delikatnych rysach, idąc obok szczupłej rasowej pani — oboje w ruchach pełni szyku — niesie okutaną laleczkę. Pani pochyla się coraz. To coś poprawi, to wytrze nasek, lub zaślinione usteczka, dotknie nóżek, czy nie zimne? — Dziecku dobrze jest w ramionach ojca. Uśmiecha się do matki, ale nie wrywa. Zadowolona z siebie trójka wędruje szybko, zatrzymując się tylko przed ruchem tramwajów i samochodów.

Inteligent — może urzędnik, może literat, może doktor: praw, może przedwojenny pałacowy kresowiec z dzieckiem na ręku poprzez ulice miasta — byłoby to kiedy?

Wojna, rozluźniając węzły rodzin inteligentkich, jednocześnie tam, gdzie los złączył z sobą dwoje ludzi nie na próbę współżycia, lecz w dobrej woli wytrwania razem aż do końca, — stwarza mur obronny głęboko pojętych obowiązków, którego podwaliną, prócz wiernej zadaniu matki, staje się i ojciec. Ten powojenny w bardzo wielu wypadkach, jeżeli nie w większości, odgrywający rolę czynnika już nie tylko zewnętrznej, materialnej opieki, — karmiciela, budowniczego terazniejszych i przyszłych podstaw do brobytu — lecz współwychowawcy, współtwórcy ładu, porządku, terminów domowych. Dzieli troski, które dawniej były poza nim. Dźwiga drobne i większe ciężary, związane z prawidłowym działaniem wprowadzonej w ruch organizacji.

Odkąd inteligentka stanęła przy warsztacie robotniczym, mąż jej, ojciec, brat, opiekun po raz pierwszy „zobaczył“ jej pracę domową. Więc ten, którego nie przegryzły jady dawnych nawyków, staje obok niej, żeby pomóc dźwigać ciężary?

Czy sprawiedliwe, aby pełną troskę i odpowiedzialność ponosiło tylko jedno?

Są rodziny ze ścisłym, na każdego poszczególnego członka rozłożonym regulaminem zajęć. Wstają wszyscy o 6-tej, dajmy na to. Niema służącej. Chłopczyk, uczeń szkoły średniej, idzie po mleko i bułki. Ojciec pali w piecu. Matka gotuje śniadanie. Starsza dziewczynka ubiera młodszą siostrzyczkę. Każdy sobie przyrządza krajanki na południe. Rozchodzą się wszyscy między 7½ a 8½. Kto najpóźniejszy ma termin, zmywa naczynia po śniadaniu i odprowadza małą córeczkę do ochrony. Kto wraca najwcześniej do domu, idzie po obiad z menażką.

Wszystko, jak w zegarku. Niekiedy piorun w otwarte okno — choroba. Zachwieje się rusztowanie, ale nie runie. Zdrowi obejmują czynności chorego i czuwają przy nim.

Znam rodziny, gdzie ojciec — urzędnik, wypełniając wszystkie podjęte prace domowe, chodzi wieczorami na kursy Instytutu Nauk Społecznych, lub Wolnej Wszechnicy, uczy się po nocach, zdaje egzaminy, otrzymuje dyplom i w dalszym ciągu nie przestaje palić w piecach, biegać z menażką po obiady.

Wielka jest prężność i siła ludzi powojennych — tych, którzy w zawierusze nie ztratili dogmatu, albo też — odnalazłszy go, trzymają oburącz mocno, jak sznur łodzi ratunkowej, jak latarnię świetlną w ciemnościach.

Roztargniony i prawie nieobecny był dawny ojciec inteligentkiej rodziny. Wnikliwy, czujny i poważnie biorący żywy udział w zjawie bytu rodzinnego, jest ten dzisiejszy. Widzimy go z córką na ręku, albo za rękę, w ogrodach i parkach miejskich. Widzimy

rozprawiającego z synem — uczniakiem na ulicy o rzeczach ważnych — szkole, sporcie, polityce. Widzimy, jak popycha wózek z maleństwem, które jeszcze nie chodzi, gdy matka prowadzi za rączkę figurkę, ledwie kołyszącą się na nóżkach, jak z waty. Widzimy w domu, czuwającego przy dziecku, gdy matka w koniecznych sprawach na parę godzin wychodzi do miasta. Widzimy nawet w książce.

Literatura polska od czterech zgorą stuleci nie rozbrzmiała tak silnym głosem ojcowskiej miłości, jak teraz. Kochanowskiego Treny na cześć Urszulki — pieśń wieczna żalu, skargi, rozpacz, — była dotąd zjawiskiem jedynym i — zdawało się — nie dorówna jej już krzyk żadnego bólu. Ale przyszedł Żeromski, który musiał przetrwać śmierć osiemnastoletniego „złotego skauta“ swego „jedynego synaczka“ i musiał patrzeć miesiącami, jak z dnia na dzień coś w nim gasło, z minuty na minutę uciekało.

„Po to się wychowa czysty, bezgrzeszny, niewinny kwiat, najsłodszy, najczystszy z dusz ludzkich, żeby ją przeszły sępie szpony, ze spokojnym podstępem, żeby ją wyssały ssawki niewidzialne i zżarła paszcza podła. Podła!

„Na to żeście tak bujnie porosły, bujne modrzewie, w jego oczach niegdyś sadzone, na to żeś tak się rozwinął, świerku niebieski, ulubiony, — małe cisy, tuje, sosny i jodły, żeby do was na krzesła ruchomem przyjeżdżał w goście, jak starzec“.

„30 lipca nad ranem we śnie zasnął. Zaiste, zasnął w Bogu. Nie biło już serce mego jedynego synaczka. Tak oto dokonało się. Boże, przytul do łona czystą duszę Adasia!“ *)

Od czasu Kochanowskiego nie było takiej psalmodycznej skargi, takiego Jeremjaszowego akcentu bólu w piśmiennictwie naszym.

Wspomnienie Żeromskiego o synu — prosty w swem założeniu, kronikarski niemal wykaz — miesiąc po miesiącu, rok po roku — dziejów życia i rozwoju „złotego skauta“, — jest jak żywa krew serca ojcowskiego, które nie mogło przetrwać dłużej nad lat kilka tego, co dokonać się musiało. Zmarł Żeromski wkrótce po ukochanym swoim Adasiu.

W Kasprowiczowskim numerze Wiadomości Literackich jest wspomnienie Zdzisława Dębickiego **) o poecie, jako o jedynym prawie od niemowlęstwa opiekunie i wychowawcy swoich dwóch córek. Miłość dla nich podkreślił Kasprowicz w jednym z najpiękniejszych, wprost z serca wydartych, rozdziałów poematu „O bohaterskim koniu i walącym się domie“.

Miał nad biurkiem swoim portrety dziewczynek. W chwilach smutku, znużenia, tęsknoty i burz we-

*) Stefan Żeromski, „O Adamie Żeromskim wspomnienie“ Wydawnictwo J. Morkowicza. Warszawa — Kraków.

**) „Główki dziecięce“ Nr. 43 Wiadomości Literackich z 1926 roku.

wewnętrznych, podnosił ku nim oczy. Główki, malowane gris à gris, nabierały wówczas barwy i, zdawało się, że występują z ram, pochylają się nad ojcem, mrużąc z figlarnym uśmiechem. Wielki spokój, cisza, ukojenie i pokrzepienie spływały wówczas na umęczoną duszę poety.

Dorośli, już wyszły za mąż, wyrwały się z pod opieki ojca panienci, ale serce jego było przy nich i z nimi zawsze. Aż do śmierci.

Jest pisarz, pełen temperamentu, brawury, rozmachu. Pisarz lat ostatnich, najpłodniejszy, najruchliwszy, najwięcej dający znać o sobie. Piórem sięgał dotąd najbrutalniejszej zjawy życia. Chwytał obrazy, przed którymi ze smutkiem zwątpienia, ze spazmem rozpaczycy cofała się dusza, wierząca, że jest poza brutalną siłą i kazuistyką sumienia bezwzględna dobroć i prawość na świecie.

W „Żuku“, w „Generale Barczu“ niema ludzi dobrych. Są żądze—jedyne motory spraw i zamierzeń.

Ale przyszły słoneczne „Wakacje moich dzieci“. Przyszło „Miasto mojej matki“ i „Pod cieniem zapomnianej olszynki“ (***)). Skąd ten przeczysty ton zapamiętania się w słodkich urokach życia, w ekstazie marzeń o sercach najdroższych, sprawach najsubtelniejszych, o kryształowych źródłach nieziemskiej cnoty, dziewiczych lasach, kędy nie przeszedł szatan pokusy, żądzy, złej woli? — Skąd „Miasto“, ciche „Miasto“, z wdzięków i dobroci wzniesione, z cudownego drzewa wdzięczności budowane? — Przemierza je poeta wzdłuż i wszerz, a zawsze tylko jest na jego krańcach i nigdy piękności jego nie pozna do gruntu.

Skąd ta sferyczna muzyka duszy, dotąd w bajory i ciemnie grzechu wpatrzony? Lub surmą wojenną zamaszycie, huraganowo na cztery strony świata grzmiącej?

Zabiło w Kadenie serce ojcowskie. Poznał czar najśłodszych ramion i atlasowych rączek, płaczących się dokoła szyi, muskających twarz puchem dotknięcia. Zrozumiał najwymowniejsze milczenie i najbardziej głupiutki szczebiot malinowych usteczek. Upił się zabawą w kolej, wojsko, kucharzy. Rozsrebrzył mu serce śmiech i nadęte dostojnością buzie małych człowieczków. Patrząc na synów swoich, myślał, jakim był on, gdy śmiał się i puszył, jak oni, i na drewnianym koniu jeździł, jak na pełnej krwi arabie? — A w odruchach i gęźbie tych refleksyj przyszła Ona, której niema już na świecie i wzięła poetę na swe „ręce jedyne“ i poniosła do Miasta wspomnień, dobroci, miłości, swego Miasta.

„Ze wszystkich dróg własnych, wszystko swoje oddaje ci matka. Przyzwyczajasz się i nie pamiętasz, ile w tem dobrej, a jakby bezimiennej, nie nazwanej nigdy pracy i czujności. Tymczasem praca owa i czynność, właśnie z drobiazgów złożona, a ogromna, o której prawie nie wiemy, nie pamiętamy, nie raczymy myśleć, — stanowi o naszym charakterze, wychowaniu i całym powodzeniu późniejszego życia“.

Nie oddasz matce nigdy, coś jej winien. Będziesz jej dłużny nazawsze. „Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął, jak młody dąb nie odda soków, z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie“.

Celem książki J. Kaden-Bandrowskiego jest, by—po przeczytaniu jej—pobiegł syn do swej matki i, „nagle ukradkiem, za rękę jej nawet nie biorąc, złożył na jej czole ostrożny pocałunek, lżejszy, niż puch wierzby, płynący przez wiosenne powietrze“.

Tak piszą młodzi ojcowie dzisiejsi.

Przy odbudowie rodziny, czyż głos ich nie zawąży na szali?

***) Juljusz Kaden Bandrowski. Warszawa, Wacław Czarński i S-ka.

HENRY DE MONTHERLAUT

2

BIEG TYSIĄCMETROWY PANNY DE PLEMEUR

(Tłum. Teresa Tatarakiewiczowa).

Przychodzą mi na myśl piękne słowa poety: „Najlepsze świadectwo wydaje o sobie władza autentyczna i prawomocna, gdy działa otwarcie i bez osłonek“. *) a katolik bardziej, niż ktokolwiek inny, powinien żądać szacunku dla ciała ludzkiego, takiego, jak Pan Bóg je stworzył. Co do panny de Plemeur, stwierdziłem ze smutkiem, że bardzo sobie zaszkodziła społecznie, nie wystawiając czeków na swą „tajemnicę kobiecości“.

Wrodzona jej naturalność i łatwość zrobiła z nie raz na zawsze koleżankę i zdaje się, że nigdy nikt o niczem więcej względem niej nie marzył. Do pewnego stopnia płaciła szczęściem za swoje zdrowie.

Gdy po kilku telefonach mieliśmy do rozporządzenia na ósmą rano następnego dnia małe boisko w Mont-

*) Paul Valery „Introduction à la méthode de Leonard de Vinci“.

rouge, panna de Plemeur włożyła zpowrotem kapelusze i wyszła. Zaledwie przeszła parę kroków, wróciła do przedpokoju.

— G. (był to dyrektor klubu) napisał mi, że Serrurier (jedna z jej koleżanek) porzuciła klub z dnia na dzień, bo jedna z młodszych członkiń spojrzała na nią drwiąco, gdy się jej nie powiodło jakieś ćwiczenie. Dyrektor zawiadamia mnie, że odtąd, aby młodsze nie śmiały się ze starszych, oddzielił je od drugich i nazaczył im inne godziny ćwiczeń. Do czego to doszło! Stosunki, pachnące dzunglą.

— Raczej kurnikiem, gdzie kury powoli zadziobują się wzajemnie.

— Prawdopodobnie pan się domyśla, dlaczego mi to dyrektor napisał?

— Nie, bynajmniej — odparłem, roztargniony.

— Jaki? pan nie wie? Chciał mi przez to dać do zrozumienia: „Jeśli pani nas porzuciła z tego samego powodu, co panna Serrurier, może pani powrócić bez obawy: starsze ćwiczą się osobno.

Zal mi się jej zrobiło, więc odrzekłem:

— Nie, ja wcale tego tak nie rozumiem.

Uśmiechnęła się z przymusem, biednym uśmiechem, który zaledwie widocznie skrzywił jej wargi; widząc ten smutny grymas, brała ochota ująć jej twarz w obie ręce.

— Zobaczmy jutro, co jeszcze potrafisz.

Słowa te były wypowiedziane odważnie, swobodnie, prawdziwie patetycznie. Istotnie, przeznaczenie jej opierało się na tym wątku: „co jeszcze potrafisz?”

* * *

Od znakomitych boisk sławnych klubów, gdzie eleganckie damy wybuchają śmiechem, jeśli się ktoś przewróci z piłką, wolę skromne, wydeptane place na przedmieściach. Gra się tam na dywanie z puszek po konserwach, wobec kilkudziesięciu obywateli, drżących z zimna, wśród wysokich kominów fabrycznych, przypominających potworne statki w porcie. Gdy przybyłem w mglisty poranek na puste i rozmokłe boisko, ponad którym górowały fortyfikacje, zdawało mi się, że będę sekundantem pojedynku. Panna de Plemeur zbliżyła się do mnie zniecierpliwiona, jak gdybym się był spóźnił. Pokazałem jej zegarek: brakowało jeszcze pięciu minut do ósmej; uważała to za obrazę osobistą. Przekonawszy się, jak wczasy tych trzech miesięcy, spędzonych w Bretanii, daleko odeszła od godności rozsądka, do których ją dawniej sport doprowadził, poczułem, jakim poniżeniem dla niej będzie porażka.

I zaczęły się przygotowania do biegu: panna de Plemeur podskakuje w miejscu, nerwowo podwija nogawki trykotów, zdejmuje

bandaże z nóg, czarnych już od żuzli, któremi wysypane jest boisko. Ujrzałem więc znów jej nogi, dość grube w kostce, takie, jak lubię. Zapamiętałem szczególnie tę chwilę, gdy siedziała na trawniku, a Delarue, masażysta, masował jej nogi, łydki obrośnięte i uda bezwłose. I podczas gdy ręce artysty wznosiły się w górę, drżąc, jak płomienie, wysoko, coraz wyżej, by wreszcie zagłębić się pod szerokie trykoty, badałem twarz dziewczyny z podstępą uwagą, by odkryć choćby najmniejszy odruch tego, co odczuwała w głębi duszy. Wyprostowana, z głową podniesioną do góry, jak u drapieżnego ptaka, ze wzrokiem, utkwionym w dal, wargami zaciśniętymi, sztywność jej wyrażała dławiący niepokój. Ja sam tak się czułem nieswojo, że zawołałem: „Zaczynajmy!”

Idzie, biegnie, jest to jakby deklamacja, przechodząca w śpiew. Jest ona łącznikiem między Bogiem, a ludzkością, jak śpiewaczka, tancerka, muzyczka. Kobieto, narzędzie niewidzialnej siły, na kolana przed twoją wartością! Jak mogłem ci wypominać twoje błędy, wady, małostkowość? Jesteś uniewinniona!

Pierwszy raz okrążyła boisko w czasie o trzy sekundy dłuższy od rekordu francuskiego. „Piękny wynik!” zawołałem, gdy przebiegała koło mnie. Twarz jej nabrała wyrazu naprężenia. Joanna d'Arc na czele swego wojska musiała mieć taką twarz poważną i zamkniętą. Joanna d'Arc?, a może raczej przodek panny de Plemeur, ów królobójczy członek Konwentu, kiedy głosował za śmiercią Kapeta? Krok jej z początku szybki i tak cudownie lekki, że wyobrażałem sobie ślady jej stóp tak małe, jak ślady kopyt koźlich, nabrał siły, pracowała nawet muskułami szyi. Pomimo to, spóźniła się znów o dwie sekundy. Zaskoczony, zawołałem: „Zrównana!”

Rozpoczęła trzecie okrążenie. Cały bieg wynosił cztery okrążenia.

Gdy zamknę oczy, wspomnienia nabierają życia, i widzę znów, biegnącą w dżdżysty poranek, w pustce i ciszy, tę, nieco przywiedłą, dziewczynę. Ona i ja — zupełnie sami; przegrywała. Jej bieg był piękny, ale nikt go nie widział i nikogo nie interesowało, w jakim to czyniła celu. Biegła, biegła może po raz ostatni, może po raz ostatni z takim wysiłkiem, biegła w świę-

tej trwodze, jak gdyby gonił ją okrutny czas i smutek. Dwieście lat temu panna de Plemeur we włosienicy, obłąkana miłością do Krzyża, wędrowała, zakrwawiona, dalekimi drogami. Na tem podmiejskim boisku ujrzałem znów powtarzający się odwieczny czyn tych, którzy wierzą, iż by usłyszeć głos Objawienia, trzeba ofiarować jedną chwilę szaleństwa.

Minęła mnie, z głową na bok przechyloną, widać było, że



jest już zmęczona, że cierpi; odkryłem w niej nieznaną głębie, jeszcze jedną przyczynę, by ją pokochać.

Widziałem już wiele takich młodych zawodniczek, które wobec swych matek ukazywały oczom ciekawych tę ostatnią tajemnicę, którą zdradzają zmienione rysy twarzy, spazm bólu, przynależny tylko małżonkowi, jako jego twórcy i panu. Znow straciła trzy sekundy, razem osiem sekund. Przeczując nieuniknioną porażkę, zawołałem: „Jest pani spóźniona o cztery sekundy“.

Ile czasu twarde te słowa wędrowały od jej myśli do ciała?

Mógłbym oznaczyć dokładnie na boisku miejsce, gdzie siły jej zachwiały się i opuściły ją; odtąd podtrzymywała ją już tylko wola, energia, złość, odtąd nie biegło już ciało, lecz dusza sama, która, jak tchnienie, biegła podobna do błędnego ognika nad rzeką.

A ja, dołączywszy moje wzruszenie do jej wzruszenia, miałem ochotę wybiec na jej spotkanie, zatrzymać ją, schwyciwszy piękne, kochane jej dłonie i zawołać. „Biedna moja maleńka! rzuć to wszystko. Co my tu robimy? Chcę wierzyć, że jestem „młodszy od ciebie, ale patrz, to twój ojciec przemawia do ciebie, do swojego zbłąkanego dziecięcia. Mówiłem i powtarzam, że kocham tylko zwycięzców, tymczasem kocham cię bardziej jeszcze w tym momencie klęski, niż kochałem cię triumfującą, i choć w sprzeczności ze sobą gotów jestem wyprzeć się słów moich jeszcze trzydzieści i pięćdziesiąt razy, jeśli Bóg tak chce, bo mi się podoba i wszystko mogę. Lecząc błagam cię, nie bądź niepotrzebnie nieszczęśliwą. Nie trwoń na próżno tej zdolności cierpienia, którą powinnaś ukryć w najtajniejszej swej głębi dla tego, który może czeka na ciebie i z dumą cierpienia te wyzwoli“. Gdzie giną te najlepsze słowa, które cisną się na usta, a nigdy nie bywają wypowiedziane? Jeśli je gdzieś Anioł spisuje i kiedyś zostaną odczytane, jakże się zbudzimy niewinni.

Wolałbym nie wdawać się w szczegóły końca biegu. Gdy się zbliżyła do mety, byłem tak zmieszany, jak ona sama. Biegła z takim wysiłkiem, że opóźnienie jej nie zwiększyło się, niemniej jednak brakowało jej ośmiu sekund do pobicia rekordu. Nie wiedziałem czy mam jej to wyznaczyć? czy mam zniszczyć jej nadzieje i odebrać jej złudzenie wielkości? Czyż nie mogłem, nie powinienem oznajmić jej zwycięstwa, by wrócić jej zaufanie do samej siebie?

Dopadła do mety z opadniętą szczęką, jak u trupa, wrywając, chwytając łyk powietrza, jak gdyby, umierająca, chwyciła zębami życie.

Rekord był ustanowiony na 3 minuty 16 sekund. Patrząc na zegarek, wyznałem prawdę:

— 3 minuty 24 sekundy.

Gdy podniosłem głowę, szła już ku ubieralni. Poszedłem za nią i minąłem ją, bo wolałem patrzeć na pustą przestrzeń, niż na jej postać z nogami wybielonemi talkiem i poczerniałemi od żuźli, aż po kolaną, z twarzą pobladałą, o ponurych, ciemno-różowych plamach na skroniach i czole. Przeszliśmy w ten sposób około trzydziestu metrów. Nagle usłyszałem i zrozumiałem, więc odwróciłem się. Upadła, wstrząsana łkaniem, pierśią i twarzą w błoto.

Popatrzyłem na nią przez chwilę, potem odwróciłem się plecami i zacząłem chodzić tam i z powrotem, jak się czyni zazwyczaj, czekając na spóźniających się. Po raz pierwszy poczułem, że kocham ją niezwykłym uczuciem, że kocham ją tak, jak nigdy bym jej nie kochał, gdyby była płakała z mojego powodu.

Po chwili wstała i rozgniotła dłonią łzy na podsiadłych oczach. Poszliśmy bez słowa do ubieralni.

Ubrawszy się, żartowała, śmiejąc się zgrzytliwym śmiechem, który jest znośny, gdy się go tłumi własnymi ustami; poprosiła mnie o papierosa. Dawniej nie paliła—z powodu sportu. Zrozumiałem, jak się w niej wszystko rozprzegło i ujrzałem smutne otchłanie, przed którym nic ją już nie powstrzyma.

Nim się ze mną rozstała, podziękowała mi, że nie chcąc jej oszukać, a jednocześnie nie rozczulając się nad nią, dałem jej dowód, że nią nie pogardzam.

Nigdy nie powróciła już do klubu. Sport był ryngrafem, tarczą, klasztorną kratą panny de Plemeur. Nie wiem, co się z nią stało; była bez grosza. Młodzieniec naszego pokolenia nie szuka panienek pod opieką matek. Żeni się ze swoją kochanką. Panna de Plemeur wie, co ma czynić; nie czeka jej piękna przyszłość.

Gdyby chciała być kochanką, mogła być moją w owej godzinie porażki, która kiedyś wybije dla każdej kobiety. Wówczas pierwszy lepszy może z nią uczynić wszystko, co sam zechce. Wiedziałem, że nie będzie moją żoną. Nie oszczędziłem jej tego upokorzenia, którego zaznała i od innych, ale nie robiłem jej także fałszywych nadziei, a tych się tylko ode mnie spodziewała. Tego, podobno, nie wybaczyła mi nigdy.



ZOFJA ROŚCISZEWSKA

KSIĘŻYC ZIMNY I DUMNY...

*Księżyc zimny i dumny i w sobie zamknięty
Tak mało z siebie daje...
Łazienki całe śpią w cieniu swych drzew jak park zaklęty...
Wiem, że są inne pełne czaru kraje.
Słońce, powodzie róż na każdym murze,
Lecz nie zamienię dzisiaj na nic, tej polskiej, zimnej nocy
[wykutej w marmurze.]*

KSIĘŻYC PROMIENI SWOICH...

*Księżyc promieni swoich złocistą oliwę
Na czarną wodę śpiących sadzawek rozlewa...
Posągom bogów śnią się sny niefrasobliwe,
W djademach złotych stoją krzaki bzów i drzewa.*

*Woda drzemiąca w złotej księżycu oliwie,
Poi duszę zmęczoną bezmiernym spokojem,
Że księżyc świeci ziemi jak dla mnie szczęśliwie,
Jak potrzebna przyroda w dziwnem życiu mojem.*

WIATR UDERZYŁ

*Wiatr uderzył w czarne gałęzie jak w żagle,
I ostatnie liście strąca...
Wizja lata przypląnęła nagle,
Lata wizja gorąca...
Kołyszą się potężne drzewa i jęczą,
Dreszcz je przebiega do korzeni,
Wiem, że się męczą...
Każde drzewo, jak ludzka twarz się mieni,
Ból je zamknął swych ramion obręczą.*

POSĄG AURORY W ŁAZIENKACH

*Pierwsza biała stoi na cokole
I ma promień księżycu na czole,
Za nią druga na murze, w żałobie,
Cień tej białej, bo jedną są obie.*

*Zapatrzone w noc gwiaździstą i wodę
Linje ciała mają smukłe i młode,
Drzewa do nich wyciągają ramiona
Raczej do niej, bo to tylko ona,*

HELENA CEYSINGERÓWNA

7

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

V

Dni kilka minęło, jak gorączkowy sen. Ostatnie pożegnanie z ciotką, drżącą ręką konającej wsunięty Lotce do ręki położyły akt testamentu. Zgon możnej pani, pełen niewymownych trwóg, ceremonie pogrzebowe, zjazd obywatelstwa, dwóch kuzynków, karciarzy zawiedzione fizjonomie, zgiełk, gwar, wstręty, czynione jej z początku przez opinię sąsiedztwa, i nagłe przełamanie się tej opinii na wieść, że ona, Lotka, jest generalną spadkobierczynią zmarłej. Arturka stropiona i zmartwiona twarzyczka, matki jego słodkawa uprzejmość po poprzednich afrontach, czynionych skompromitowanej pannie — wszystko to niewymownie znużyło Lotkę. Postarzała przez ten tydzień o lat kilka.

Z duszą smutną i szarą od wewnętrznego znoju wracała do Łęgów. Gdy powóz jej był o jakie dwa stajania ode wsi, doszedł jej uszu przeciągły, chrapliwy ryk bydła.

— Co to jest?

Stangret nie wiedział. — Przez te kilka dni był z panienką w Konopnicy...

Im dalej, tem wyraźniejsze były te głosy niemych stworzeń. Pod szare chmury zimowego nieba niosły się żalosne, pełne grozy, niepojęte...

— Co to jest? — powtórzyła. Stangret się uniósł na koźle.

— Tam na polu, proszę pani — wskazał biczykiem — wszystko bydło wiejskie chodzi po śniegu. Powarjowali?! Czy popaliły im się stajnie i obory?

— Rzeczywiście! Może pożar... jedźno prędzej!

Podciął konie, ale po paru minutach szybszej jazdy przystanął.

— Ej, proszę pani, możebymy odjechali od Głuchowa...

— Czemu?

— Tam koło tego bydła... kozacy...

Miała chwilę wahania.

— Jedź prosto!

Jeszcze parę minut jazdy i oczom ich ukazała się niezapomniana nigdy scena. Po białej, roztworzystej równinie, krasemi plamami bydełka wiejskiego znaczonej, uwijała się na koniach jazda kozacka.

— Co to znaczy? Co wymyślili znowu? Czy sprzedają im bydło na opłatę kar?

— Ej nie! nie widać nigdzie żydów... To musi, co insze...

Podjechawszy bliżej jeszcze, ujrzeli naprzeciw siebie, tuż przy drodze, wioskowego buhaja. Wparty w ziemię szeroko rozstawionymi raciami, podniósł

łeb rogaty w górę ku chmurom zimowym i ryczał... Była w tym głosie zwierzęcia jakaś taka ponura skarga, takie wołanie potężne, a beznadziejne, jakby to bydło wiedziało, że nikt go nie wysłucha, nikt pomocy nie ześle...

Obojgu słuchającym go ludziom dusze poczęły mroczyć się grozą.

Rykowi buhaja zawtórowały przeciągłym urywaniem ryczeniem wszystkie krowy z całej wsi. W to posępne staccato wpadło nagle dzikie rzenie koni, a od wioski odpowiedział głuchy płacz ludzki...

Lotka w głębi duszy rada była, gdy ją kozacy zatrzymali i nie pozwolili jechać dalej.

Okrażali wieś długo, w milczeniu, nasłuchując niespokojnie mieszanego chóru ludzkich i zwierzęcych skarg.

Od służby, co wybiegła na powitanie pani, dowiedziała się Lotka, że to było już trzeci dzień stoi tak na mrozie, bez pożywienia, że już prawie zdycha z głodu...

— Dlaczego? W jakim celu?

— A bo oni tak chcom ludzi żałością nad bydłakiem skruszyć...

— A ludzi nie biją? — pozieleniałą twarzą i sinymi ustami pytała Lotka.

— Bogać tam, nie biją!

— Niech się pani — nawet nie dopytuj!

— Tam taka rzeź, jak jeszcze nie było!

— Gołowinskij, mówią, wściekł się. Rzucił się sam na ludzi, kułakami miażdży nosy, wybija zęby...

— Kutanin to samol pierze do omdlenia — opowiadali jeden przez drugiego.

Lotka weszła do dworu i przez chwilę stała w jadalni, jakby nieprzytomna.

Uciekły od niej wszystkie myśli, spłoszone przez jedną, najstraszniejszą: widać niema Boga! bo gdyby był... nie dozwoliłby... Niema! — Po chwili kazała sobie osiodłać konia i, wdziawszy krótkie futerko, choć się miało pod wieczór i poczyniała zadymka śnieżna, pognęła w stronę lasu. Chciał z nią jechać stajenny, który zwykle towarzyszył dziedzicze na spacerach. Zakazała surowo.

— Wściekła się, czy co? — mrucał lokaj.

— I gdzie pognęła? Nie do wsi, nie do miasta?...

— A może do Janowa, telegrafować do gubernatora — domyślała się gospodyni.

— Eh! na dużoby się zdał!

— Ale, jak ją poniosło! Miękkie ma serce ta nasza!

— To ją tak boli za naród...

— Nie tak, jak twój hrabia Kostuś! co?
— Ba, ten by patrzył, jak katuja, i jeszcze przyklaskiwał...

— Takie to było zawsze, od maleństwa... ta Lotka...

W tej chwili nowa fala jęku napłynęła od wioski.

— Dopust Boży! — zegnając się, rzekła gospodyni i, ukląkwszy na środku pokoju, odmawiać jąła modlitwę za konających.

A Lotka jechała najpierw drogą, potem skręciła w las, potem, przez wycinków obszar rozległy, przejechała w poprzek i, zapuściwszy się w jakieś jary, bezdroża, pagórki i wądoły, walczyła z koniem, który wzdragał się iść naprzód, strachał co chwila i skręcał w bok, tak że musiała kilka razy trącić go szpicrutą i ściągnąć cuglami, by nie zbiec z kierunku. Może to zawieja biła go w oczy.

Gwałtowny ruch, zmaganie się z koniem odprężyły do pewnego stopnia napięte nerwy dziewczyny. Uspokoiła się. Tylko takie dziwne wrażenie... że ktoś jedzie obok... przez całą tę drogę i zawsze już potem we wspomnieniach pewną była, że ktoś jej towarzyszył wtedy...

Zrobiło się zupełnie ciemno, koń stąpał coraz ostrożniej wśród gąszczy gałęzi, które, trącając go, wywoływały w nim nerwowe wstrząsy, gdy wtem zaszczeakał pies i zaraz potem zamigotało w ciemni drobne światelko.

Lotka pojechała prosto na ten błysk światła.

Po paru minutach stanęła przed chatynką leśną, przyczepioną do zbocza jaru i od drugiej strony zupełnie niewidoczną. Podjechała do niskiego okienka i szpicrutą trąciła w szybę. Pies tymczasem ujadał wściekle, skacząc koniowi do pyska.

Widać było, że do szyby przywarła twarz kobieca i złożonych rąk dwoje, zacem na progu z kagankiem w rękę, zasłaniając go od wiatru, stanęła Ksenia.

— Odwołaj psa! — rozkazała panna.

Ksenia świsnęła i pies zcichł natychmiast, warując jej u nogi.

Lotka zeskoczyła z konia i oddała Kseni cugle.

— Wprowadź tymczasem konia gdzie pod dach; niech nie marznie na wietrze!

Ksenia umieściła konia w obórce, gdzie miała krowę i oswojoną sarenkę, a potem obydwie weszły do chaty.



ZOFJA ŁOSIOWA

2

ZUZANNA ZE STRZEMBOSZÓW OŻAROWSKA

II

Ludzie uczeni zowią to Ananke.

A lud nasz mówi—że doli nie było.

Piękna jak Anioł była i bogata jak Krezus, Zuzanna Strzemboszówna, a nie do szczęścia ją Bóg stworzył snąc, nie do wesela i rozkoszy, jeno do łez i rezygnacji. Ledwo w klasztorze lwowskim odpoczęła lat parę po strasznych przejściach dzieciństwa, ledwo ze zmory, która ją dławiła, ochłonęła, aż tu nowe zakłania ją czekały. Sława jej piękności, uroku, rozumu niezwykłego, a może i owych wiosek szesnastu, w bezirku złoczowskim położonych, aż za furtę klasztorną wybiegła i tyle sprawiła, że się pod nią czuły trubadur zjawił i o rękę panienci prosił. Nie młodzik już, owszem, stateczny wcale monsieur le général Charles Hennequin Fresnel de Curel przez Jego Cesarską Mość Cesarza Austrii w podbitej Galicji komendantem Lwowa mianowany. Że się paniencie, siedemnaście wiosen wówczas liczącej, nie podobał—cóż dziw-

nego? Lat miał już przeszło pięćdziesiąt, i, pomimo postawy żołnierskiej i pięknych manjer, pięknnością nie grzeszył.

No, a przedewszystkiem ten wiek! Toć starszy od pana ojca. A co najgorsze to, że Austriak, choć francuskiego pochodzenia, i pięknych swych manjer w Wersalu Ludwików nabrał. Austriak jest i wróg— a panienka jest córką napoleońskiego żołnierza i sama patriotka gorąca.

Co prawda, nie poszłaby z Pasynianką zdzierać czarno-żółte transparenty, bo dał jej Bóg usposobienie ciche i łagodne, ale z własnej woli wroga Ojczyzny swej i cesarza nigdy nie poślubi. Poparł ją w tem gorąco imć pan Strzembosz—i w tym wypadku, ponoć po raz pierwszy i ostatni w życiu, jedną mieli wolę—ojciec i córka. Pan generał wzdychał, do Sakramentek jeździł, aż—mu się znudziło. Do Wiednia pojechał i wniósł suplikę do tronu. Co i jak się stało—o tem historia milczy—dość, że dworskie wpływy na ojca, zakonne zaś na córkę, tyle zrobiły, że pan To-

masz nie bronił, panna się zgodziła i została panią generałową.

W dniu zaś ślubu nieznanemu malarzowi zrobił jej portret. Zachowany jest do dziś w pięknym empirycznym salonie w Lackiem. Cudna, subtelna główka, spowita w mgiełkę ślubnego welonu, usta rozchylone uśmiechem—a oczy—bezdennie smutne, jakby marzyły o tem, co nigdy nie przyjdzie Suknia na obrazie niegdyś biała, obecnie zamalowana ciemnym kolorem. „Tak pani hrabina kazała—objaśnia przewodniczka—mówiła, że to był najsmutniejszy dzień w jej życiu“.

Pani generałowa zamieszkała w kasynie Hechta, w najpiękniejszym apartamencie miasta i ozdobiła salony wysokiej „sosjety“ swoją urodą. Wniosła mężowi nietylko posag wielki, ale i sympatię miasta, bo oto co pisze o domu pp. Fresnelów Ludwik Jabłonowski: Krzywiliśmy się wtedy jeszcze na Francuzów, służących w cesarskim wojsku, bośmy na własnej skórze nie poczuli, do czego doprowadzić może panowanie ohydnej demokracji, starszej siostry biurokracji.

Ohydy rewolucji uszlachetniał zapal wojak, bohaterstwo wodzów, huk dział zagłuszał wrzaski komuny, a płaszcz z pod Sodi, Jeny zakrywał krwawe błoto; temi wspomnieniami i my żyliśmy. Więc Fresnel, choć Francuz, nie używał miru, dopiero gdy zaślubił p. Strzembosza, by ją zasłonić przed ojcem, jako siedemdziesięcioletni starzec, zbliżył polski świat do siebie*).

Dodał pan Jabłonowski nieco lat panu generałowi, któremu, zaiste, nie było już tego potrzeba, ale i pomylił się także, przypisując jego małżeństwo jedynie pobudkom najwyższej szlachetności. Pan generał dobrze sobie obliczył, ile intraty dać winny dobra żony, bo, jak się okazało, był nie tylko dzielnym żołnierzem, ale i znakomitym administratorem, co rzadko chadza wparze. Zaprowadził ład kasarniany, na wszelkie folwarczne godności dawnych swych żołnierzy wyniósł, sobie i im nadając nieograniczoną władzę nad „paysanami“. Niczem Strzembosz w Lackiem, karał za najmniejsze przewinienie, a częstą karą było wrzucenie delikwenta do suchej studni na dziedzińcu w Olszanicy, pełnej wilgoci, żab i jaszczurek, skąd niejeden, zdrów wrzucony, obłąkany z przerażenia wyszedł. Czasy to jednak były takie dziwne, że się za marnem chłopskim życiem nikt nie ujął, więc jaśnie generalska jurysdykcja mogła sobie urzędować swobodnie.

Nie omieszkał się pan generał pokłócić zaraz z teściem swoim. Nie lubili się nigdy. Fresnel nie mógł zapomnieć, że na teściu zgodę na małżeństwo wymusił, Strzembosz — że go zmuszono — a że obaj gwałtowni byli i nieokiełznani, więc lada iskierka wystarczyła, by rozpalić nienawiść. Poszło o miedzę graniczną. Długo trwały procesa i sądy, aż znużeni niemi, postanowili gwałtem swego dochodzić. Pan Tomasz chłopów swoich z kijami i kosami na pagórku ustawił, zaś Fresnel na drugim huzarów swych formował. Już miało dojść do walnej rozprawy, gdy prze-

rażeni sąsiedzi, słysząc, co się dzieje, nadjechali i rozdzielili zapasników. Nie widzieli się jednak odtąd. Fresnel do Styrii przeniesiony, rzadko w kraju bywał, a pan Tomasz dożywał ponurego żywota, dziwacznie coraz bardziej i chorując. Dla rozrywki budował na najwyższym szczycie leśnych pagórków, otaczających Lackie, na Żarnawce, kaplicę grobową. Dla oryginalności jednak budowano ją tylko w nocy, przy pochodniach, i tylko w nocy, po bezdrożach i wywrotach leśnych materiały na stromy szczyt windowano. W dzień pan dziedzic budować nie pozwalał.

Podziemia tej kaplicy pogodziły zwaśnionych: leżą w niej obok siebie pan generał Fresnel de Currel, który wczasy chwilowego pobytu w Galicji, tu życie zakończył, leży stary Strzembosz, który o rok jeno zięcia wyprzedził, leżą kręgiem niewinne ofiary strasznego szaleńca: Jan, Leon i Honorata Strzemboszowie.

Została w Olszanicy młodziutka wdowa, a w Lackiem stara „Mamińka“, pani Strzemboszowa. Więc się pani Zuzanna do Lackiego przenosi i tam chorą, bezwładną, na wózku wożoną macochę pielęgnuje. Świta w jej smutnym życiu promień nadziei. Kocha i jest kochaną. Kim był „on“, nie wiemy. Jedni mówią, że oficer w powstaniu 31 r., drudzy twierdzą, że Włoch-malarz. Zagadka dotąd nieodgadniona. Ale pani Fresnelowa jest „Hofdama“. Musi na małżeństwo otrzymać pozwolenie cesarza. Jedzie tedy do Wiednia i przedstawia sprawę Metternichowi.

Zawsze gładki i uprzejmy wielki minister nie odmawia, nie zgadza się. Zobaczy, namyśli się, przekonana. Prosi o podanie nazwiska narzeczonego. Fresnelowa wraca pełna nadziei do kraju, lecz nim do Lackiego dojechała, przed nią „extra poczta“ przywiozła rozkaz uwięzienia „jego“. Już go nie zobaczyła, pono odstawiono go do granicy rosyjskiej, i tam oddano w ręce władz, których był poddanym.

Została wieczna w sercu żałoba i pamiętka — kamień wielki w lesie, na nim wryty wieniec z róż, spleciony z wieńcem cierni, pod nim pierwsze litery włoskiej piosenki...

Tam podobno „pani hrabina“ do ostatnich lat swego życia lubiła udawać się na samotne dumania, tam, podobno, niegdyś wiodła długie z narzeczonym rozmowy. Odtąd życie jej jeszcze bardziej, niż dotąd, staje się smutnym i beznadziejnym. Promyk szczęścia błysnął i zgasł, pozostawiając duszę w jeszcze głębszych mrokach. Nie widzi przed sobą możliwości szczęścia, ani losu odmiany. Rodzina, bliscy znaleźli kandydata na męża. Zrujnowany w powstaniu hr. Konstanty Ożarowski, człowiek dzielny, zacny, obciążony liczną, w nędzy pozostającą, rodziną. On da młodej żonie opiekę, ona jemu wniesie posag, który jemu i rodzi-

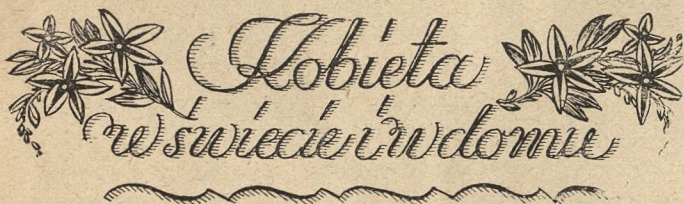
*) Pamiętniki S. Jabłonowskiego, rękopis Biblij. Nar. im. Ossolińskich we Lwowie, wyszły pagm. drukiem p. t. „Złote czasy i wywczasy“. Lwów. Wydawnictwo polskie 1920.

nie byt zapewni. Tak „filary towarzystwa“ lwowskiego uradziły — tak będzie. Pisze Fr. Jaworski że „nikt nie wiedział, ile w tem było wewnętrznego wstrętu i buntu“. Sądzę, że chyba nie. Było tylko znamienie nieszczęścia, pierwszy z długiej litanji dobrych uczynków, którym odtąd życie poświęciła. W r. 1832 została Zuzanna Fresnelowa hrabiną Ożarowska.

Żoną człowieka ze wszech miar zacnego, którego całe życie poważała, ale niemłodego, ułomnego dziwaka, odludka, bigota, który łączył w sobie trudne usposobienie, ze znaną brzydota fizyczną. Mieszkali w dwóch odległych skrzydłach pałacu w Lackiem, spotykając się jedynie wczasie posiłków. Ta kobieta, pełna życia, piękna, żywa, do miłości i szczęścia, zda się, stworzona, dwa razy zamężna — nigdy żoną nie była. Obecnie już, mając lat około trzydziestu, oddała się dobrym uczynom i nabożeństwu, kochana i poważana przez otaczających.

Specjalnie serdeczne łączyły ją stosunki z rodziną drugiego męża. Prawda, że ułatwiała im życie ogromnie. W obszernej po śmierci jej pozostałej korespondencji, odnaleźć można na każdej, niemal, stronie listów, wspomnienia jakiejś wyrządzonej przysługi — dobrodziejstwa. W kilka lat po powrotnym zamężciu, zaczyna w niej kiełkować myśl stworzenia w Lackiem jakiegoś zbożnego dzieła. Około r. 1853 wraca z Francji do Lwowa ks. Jadwiga Leonowa Sapieżyna, przywoząc dla Polski pierwszy zaczyn wielkiego dzieła: domów dla pokutnic. Piękna ta myśl trafia do przekonania pani Ożarowskiej. Ufunduje w Lackiem Dom Miłosierdzia, „aby w tym domu — jak mówi — gdzie tyle zbrodni popełniono — czynioną była pokuta“.

(d. c. n.)



KOBIETY A ASTRONOMJA

W ostatnim numerze „The Vote“ znajdujemy obszerny artykuł, poświęcony astronomkom angielskim. Zdawałoby się, że nauka tak oderwana i wymagająca tak obszernych wiadomości matematycznych, jak astronomja, mało powinna liczyć adeptek wśród kobiet, które, naogół biorąc, niezbyt chętnie się garną do nauk ścisłych. Okazuje się jednak, że, w Anglii przynajmniej, jest przeciwnie. Najsłynniejszą astronomką angielską była panna Karolina Herschell, siostra znanego badacza ciał niebieskich Williama Herschella. Od najmłodszych lat pracowała panna Herschelle wraz ze swym bratem nad astronomją, i nie ulega żadnej

wątpliwości, że i jej w znacznej mierze przypisać można zasługę odkrycia Uranusa (planeta ta u astronomów angielskich nosi na cześć swego odkrywcy nazwę Herschell). Badania astronomiczne panny Herschell doprowadziły ją ponadto do odkrycia ośmiu nieznanych przedtem komet.

Stowarzyszenie Astronomów Wielkiej Brytanji (British Astronomical Association) liczy obecnie w swym gronie siedemdziesiąt kobiet. Pomiędzy niemi wymienić należy nazwiska: pani Grace Cook, jednego z największych autorytetów w dziedzinie meteorów i t. zw. gwiazd spadających, odkrywcy nowej gwiazdy w roku 1918; Dr. Annie Cannon, Amerykanki z pochodzenia, której pomnikowe dzieło o widmach gwiazdnych zaliczanem jest do najbardziej podstawowych dzieł z tej dziedziny. Uczona ta przeprowadziła klasyfikację przeszło 700.000 gwiazd i określa z największą łatwością ich odległości zapomocą spektroskopu. Do wybitnych już, choć jeszcze młodych, sił astronomicznych należą: panna Gertruda Bacon, znana prelegentka, panna Mary Proctor, autorka kilku podręczników, popularyzujących wiedzę astronomiczną, panna Cecylja Payne, specjalistka z dziedziny spektroskopji, panna Blaggs, jedna z najzdolniejszych matematyczek angielskich, która poświęciła się specjalnie zmuśnej dziedzinie obliczeń technicznych.

Oprócz wyżej wymienionego Stowarzyszenia Astronomów istnieje jeszcze w Anglii Królewskie Stowarzyszenie Astronomiczne (Royal Astronomical Society), do którego niedawno jeszcze kobiety nie miały wcale prawa wstępu. Dopiero w r. 1915 przeprowadzono zmianę w statucie Towarzystwa, pozwalającą na przyjmowanie kobiet do grona członków, a nawet do zarządów poszczególnych sekcji i głównego zarządu. Obecnie Towarzystwo liczy w swym gronie pięćdziesiąt członkiń, a pani Ratcliffe jest jednym z członków zarządu.

Stwierdzić można, że nie ma już dziś takiej dziedziny nauk astronomicznych, w którejby kobiety angielskie nie grały roli, często pierwszorzędnej, a w każdym razie bardzo wybitnej. O zainteresowaniu astronomją świadczą poza to bardzo liczny udział kobiet w kółkach i stowarzyszeniach miłośników astronomji, znaczna liczba podręczników i dzieł popularyzacyjnych, pióra kobiecego i t. d. Panna Periam Hawkins znaną jest jako autorka doskonałego podręcznika astronomji, pod tytułem „A. B. C. astronomji“. Panna Gibbern wydała już kilka bardzo cennych dzieł popularyzacyjnych. Zpomiedzy bardziej znanych astronomek angielskich wymienić jeszcze należy panią Maundera, uważaną w kołach fachowców, jako autorytet w kwestjach badań słonecznych, i pannę Furness, jedną z najlepszych znawczyń kwestji gwiazd zmiennych.

KRUCJATA KOBIET BELGIJSKICH

Oddawna już prowadzona przez kobiety belgijskie krucjata przeciwko pornografji, doprowadziła wreszcie do pożądanego rezultatu. Paragraf 383 kodeksu karnego belgijskiego otrzymał uzupełnienie w postaci klauzuli, następującej treści: „Ktokolwiek wyrabia, posiada, importuje, lub rozpowszechnia pieśni, broszury, wydawnictwa, książki, lub rysunki, obrażające moralność, podlega karze więzienia na przeciąg jednego miesiąca do jednego roku, oraz grzywnie w wysokości od pięćdziesięciu do tysiąca franków“.

KOLEGIUM DLA ROBOTNIC

Czytamy w „The Woman's Leader“ o badzo interesującym eksperymencie „Kolegium uniwersyteckiego dla kobiet pracujących“ (College for Working Women) istniejącego w Surbiton pod nazwą Hill Croft College. Kolegium to przeznaczone jest dla kobiet, pracujących zarobkowo przez dzień cały, w celu umożliwienia im odbycia wyższych studjów bez przerywania pracy. Wykłady odbywają się wieczorami. Internat zawiera 40 pokoi sypialnych, w których mieszczą się po 2—3 słuchaczki kursów. Kolegium to istnieje już od r. 1920, mieściło się jednak dawniej w Beckenham i z powodu badzo szczupłego lokalu mogła z niego korzystać zaledwie bardzo ograniczona liczba słuchaczek. Pomimo to jednak do ubiegłego roku ukończyło w niem naukę 105 słuchaczek, rekrutujących się przeważnie z pośród sfer robotniczych, a więc pracownice okolicznych fabryk, służące i t. d. Bardzo ciekawą jest statystyka dalszych losów tych studentek. Mniej więcej połowa ich pracuje w dalszym ciągu w tym samym fachu, co i przedtem, druga połowa zaś przerzuciła się do pracy nauczycielskiej, urzędniczej i t. p. fachów „inteligentkich“. Dodać należy, że kolegium powstało z inicjatywy i przy znacznej pomocy finansowej różnych stowarzyszeń zawodowych i społecznych.

NAJMŁODSZA „BUSINESSWOMAN“

Rzeczownik „businesswoman“, odpowiadający bardziej znanemu terminowi „businessman“, oznacza kobietę, która się zajmuje samodzielnie sprawami finansowymi, czyli, jak się to u nas zwykle mówi, „prowadzi interesy“. Takich „businesswoman“, prowadzących zupełnie samodzielnie nieraz bardzo duże przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe, czy finansowe, jest w Ameryce bardzo dużo. Najmłodszą jednak niewątpliwie z pośród nich jest panna Bessie Freeman, zamieszkała w mieście Harlingen stanu Texas. Liczy ona zaledwie lat szesnaście, pomimo to jednak jest kierowniczką olbrzymiego i doskonale prosperującego przedsiębiorstwa hotelowego, otwartego przez rok cały dla turystów, którzy nader licznie zwiedzają tamte okolice słynnej doliny Rio Grande. Panna Freeman, pomimo swego bardzo młodego wieku, ma za sobą już wcale bogate doświadczenie w dziedzinie samodzielnej pracy zarobkowej. Jako dziewięcioletnia dziewczynka zdobyła pierwsze premjum jednej z największych firm ubezpieczeniowych amerykańskich, za sprzedaż największej ilości polis asekuracyjnych. W dwunastym roku życia miała już w banku własne konto, na którym figurowała suma zgórą trzech tysięcy dolarów, zebranych przez młodziutką „businesswoman“ zupełnie samodzielnie z rozprzedaży wyrobów pończosznicy. Obecnie zaś, w wieku lat szesnastu, jest panna Freeman właścicielką fortuny, obliczonej na zgórą dwadzieścia tysięcy dolarów. Cały ten fundusz zawdzięcza ona tylko swej własnej pracy, jest bowiem sierotą, i nie otrzymała żadnego spadku po rodzicach. Z. B.



Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Sługa dwóch panów“ komedia w 3 aktach Goldoniego, przekład Edwarda Boyi.

Przedstawienie „Sługi dwóch panów“ w Teatrze Polskim było przedewszystkiem triumfem Fryczera, pana Leona Schillera, który wraz ze świetnym dekoratorem Fryczem skomponował widowisko naprawdę ładne i zabawne. W ich interpretacji stary Goldoni (jeden z najplodniejszych pisarzy dramatycznych!) ożył, skrzył się wesołością, cieszył oczy i uszy. Wszystko było w nim rozśpiewane, karnawałowe, barwne, jak ów rój masek, które co chwila wbiegają na scenę, żebyśmy przypadkiem nie zapomnieli, że jesteśmy w Wenecji, w wesołym okresie karnawału, kiedy nie bawić się byłoby grzechem. Ten potok barw, kaskady śmiechu, miła muzyka Rutkowskiego parta na współczesnych motywach, taneczny zespół Tacyjany Wysockiej sprawiły, że tekst sztuki stał się rzeczą drugorzędą. Nie jest to bynajmniej błędem, w stosunku do Goldoniego — nie jesteśmy już bowiem wstanie wczuć się dziś w specyficzny charakter autora „Sługi dwóch panów“, jak nie jesteśmy wstanie zrozumieć jego aktualnych aluzji i dowcipów. Pomimo cech prawdziwego talentu, dającego mu prawo należeć do rodziny wielkich pisarzy dramatycznych, był Goldoni par excellence pisarzem epoki przejściowej w teatrze, a sztuki jego przesiąknięte były silnem zabarwieniem lokalnem i aktualnem.

„Sługa dwóch panów“ jest zawiłą i naiwną opowieścią o kuty na cztery nogi francie Truffaldino, który, połakomiwszy się na grosz, służy naraz u dwóch panów — bez ich wiedzy, oczywiście, każdy z nich, bowiem, chciałby mieć oddanego sobie służącego, któremu mógłby ufać. Przypadek sprawia, że ci „dwaj panowie“ to para narzeczonych, Florindo i Beatrycze. On przyjechał z Turynu w pogoni za awanturniczą panią, która pewnego dnia zniknęła z rodzinnego miasta, a ona przyjechała do Wenecji w przebraniu męskiem, żeby w ten sposób łatwiej wyegzekwować należną s. p. bratu sumę od imię pana Pantalone (z córką owego Pantalone był ów młodzieniec kiedyś po słowie). Łało się domyślić, jakie stąd powstają zamieszania. Panna Rozanra nie chce słyszeć „o wskrzeszonym kochanku“, bo zdążyła już rękę przyrzec innemu, ten „inny“ szaleje, podejrzewając ukochaną o zdradę itd. Do powikłania sytuacji dzielnie przyczynia się Truffaldino, łączący w sobie spryt, niedbalstwo, lenistwo, żarłoczność i wiele innych, cennych w komedji zalet. Figura Truffaldino jest najważniejsza i dla niej prawdopodobnie napisał Goldoni swojego „Sługę dwóch panów“. Rola Truffaldino wymaga od aktora humoru i komizmu, który bezpośrednio udzielałaby się widzom. Jest to komizm bardzo prosty, podobny do komizmu współczesnych amerykańskich aktorów filmowych, oparty wyłącznie na nieprawdopodobieństwie sytuacji. Wczuł się w niego doskonale Maszyński, ruchliwy, groteskowy wychodzący obronną ręką z najbardziej trywjalnych sytuacji. Prawie równie trudne i ryzykowne zadanie miała p. Kamińska — Beatrycze, przebrana za chłopca. I ona wczuła się w typ Komedji del Arte, grała z wdziękiem i ze swadą. Dobrą Rozanrą była panna Kunciewiczówna, bardzo zabawną pokojówką — pani Życzkowska. W rolach męskich — panowie: Stanisławski, Małkowski, Wesołowski, Krzewiński, Daszyński, Dereń, Wasiel, Żeleński.

Kierowani doświadczoną ręką p. Schillera, haftowali swoje postacie na kanwie, którą jest komedia włoska owej epoki.

TEATR MAŁY

„Nasza boginka“. Komedia w 4-ech aktach Maxyma Bontempellego.

Pani Przybyłko-Potockiej oddawna nie widzieliśmy na scenie. Niestety, po długiej przerwie ujrzeliśmy ją w sztuce, dla której szkoda tej wielkiej aktorki. Przebrać się potrafi byle kto, i jeżeli poza tem przebieraniem nie kryje się nic głębszego — doprawdy szkoda, że rolę manekina kazano odgrywać pani Przybyłko!

Teza autora da się streścić w kilku słowach: Kobieta z suknią zmienia duszę. Żeby tezę tę udowodnić, bohaterka komedji Bontempellego, w zależności od barwy i rodzaju stroju, jest istotą sentymentalną, tkliwą, zuchowatą, złą, przewrotną, pokutującą, itd. Można by powiększyć ilość tych faz w nieskończoność. Pan Bontempelle zadowolnił się tylko kilkoma. Możemy mu za to — i tylko za to! — być wdzięczni!

Talent pani Przybyłko-Potockiej sprawił, żeśmy cierpliwie mogli wysiedzieć do końca sztuki. Ale właśnie jej talent jeszcze podkreślał nikłość pomysłu i pustkę treści. Pp. Fritsche, Węgielko i Gawlikowski robili, co mogli. A że autor bardzo ograniczył ich możliwości... Dobrą była pani Kemua, a najlepsze — dekoracje Frycza. Z. P.

WINNIŚMY ZNAĆ SIĘ WZAJEMNIE



Ceramika ludowa

Odwiedzając od szeregu lat znajomych gospodarzy i czyniąc wciąż nowe znajomości, spędzam w chatach nie tylko miłe, dobre chwile, ale wynoszę z nich dużo pożytku duchowego, — ileż widziałam dowodów niezwyklej siły woli, wytrwania w znoszeniu wszelkich przeciwności, poprzestawania na małym, wytrzymałości w pracy, zgadzania się z wolą Bożą, wobec największych nieszczęść, tkliwej, czynnej, pełnej poświęcenia miłości matki względem dzieci, ile bezmiernej pracy, aby trwać przy ziemi! Widziałam niezliczone dowody wielkiej zdolności wśród samouków-analfabetów, nierozwijanych z braku środków, mimo najgorętszych pragnień.

Widziałam zegary, wykonane przez analfabetów w szczytce domów, nakręcane w mieszkaniach, — różnej konstrukcji wagi, zupełnie dokładne, skombinowane kłódki, skrzypce o tonie miękkim, miłym, przeróżne narzędzia, maszyny rolnicze, młynki do mielenia mąki, oprawione książki przy pomocy noża zwykłego i prasy do sera i tyle innych rzeczy; — odrobina chełpliwości nie cechowała wykonawców, — „a bo to co wielkiego, wyjdiesz w pole, myśli lecą jedna za drugą — zrób tak, a tak — przychodzi zima, czas wolny, to się i robi“, — tak tłumaczy wykonawca najbardziej zawilej pracy; — „w naszej wsi byle pargul (smarkacz) — cosik dłubie, to skrzypce niezgorsze, to kapliczkę, krzyż z Męką Pańską“. Dziewczęta wiejskie, — jakże piękne tkaniny potrafią „wymodzić“, — tyle w nich barw, a harmonijnie dobrane, podnoszą ich krasę waziutkie paseczki, zwane „przymilniki“, albo „podchlebniczki“.

Ileż uroku ma w sobie izba łowicka, strojna w wycinanki: „tasiemki“, „kodry“, „gwiozdy“ — ile w nich pomysłowości, smaku, odczucia piękna, a często twórczości! Anastazja Pawlinówna, Fr. Klimkiewiczówna, Urszula Zaczek, Strycharska, Malczykówna i tyle innych, nieznanych dawniej w Łowickiem; prace ich budziły zachwyt zwiedzających wystawy w Łowiczu i Liskowie.

Dać możliwość poznania twórczości ludowej tym, którzy interesują się ludem, jak również i tym, którzy

dotychczas, nie znając go, stoją od niego zdala — oto zadanie wystaw etnograficznych. Dział etnograficzny na wystawach budzi coraz większe zainteresowanie. Podczas trwania wystawy w Liskowie, odzywały się głosy, że eksponaty działu etnograficznego są tak cenne i piękne, że należałoby je zakupić do którego z muzeów.

Wychodząc z zasady, że po owocach pracy poznajemy twórców, przyjść musimy do wniosku, że niepospolite dusze muszą mieć ci, których prace wywoływać mogą nie powszednie zadowolenie estetyczne ludzi, stojących na wysokim poziomie kulturalnym. Zbliżyć się do tych, tak często uzdolnionych, jednostek winno być dążeniem każdego człowieka, pragnącego poznać kraj, jego wartości duchowe.

Czy mieszkańcy wsi pragną zbliżenia z inteligencją? — niech za mnie odpowiedzą wyniki ankiety, przeprowadzonej w roku ubiegłym. Na rozesłany w różne strony kraju kwestionariusz, dotyczący stanu oświaty, uspołecznienia, sposobu życia, dążeń, upodobań mieszkańców wsi, otrzymałam odpowiedzi od 65-ciu drobnych rolników, — jest to materiał dla badacza wsi bardzo cenny. Oto główna treść odpowiedzi: „Dotychczas ludzi, garnących się do nauki, jest wśród nas, w stosunku do ogółu — niewielu. Jesteśmy prawie wszyscy samoukami, mimo usilnej pracy, dużego wpływu wywierać nie możemy, bo sami nie czujemy się zbyt na siłach; nas powinni zespolic, do czynu wspólnego zachęcić ludzie oświeceni, dzielni, bezinteresowni pracownicy na niwie oświaty, — ale cóż, kiedy ich brak. Natomiast odwiedzają nas agitatorzy polityczno-partyjni, którzy potępiają surowo wszystko, co jest z innej partji, jątżą nas, kłócą i zniechęcają do jakiegokolwiek pracy wspólnej“.

Ze wszystkich odpowiedzi nadesłanych wyczuwać się daje żal od tych, którzy, mogąc siać zdrowe ziarno prawdy, stoją od ludu zdala.

Oto dalsze głosy ankiety: „Siew nienawiści ustać powinien, nadszedł czas na rozumne rozważania“. „Trzeba zwalczać zaraźliwe sobkostwo i przekonać umiejętnie, że nie tylko zagon własny wart jest obrony, ale wymaga tego i Ojczyzna, o której, niestety, tak mało na wsi wiedzą“.

Znajduje się taki głos: „Gdzież są ci, którzy poszli ze wsi do zakładów naukowych średnich i wyższych? Czemu nie interesują się i nie pracują dla dobra swych najbliższych? czemu zapomnieli o tych, którzy dali im możliwość szerszego na świat spoglądania? Lud potrzebuje szczerze mu oddanych serc zanych, które gruntowałyby pogląd na Ojczyznę i na obowiązki względem Niej“.

Z głębokim umiłowaniem mówi o tym doniosłym obowiązku Konopnicka Marja:

„Gdzie my od was odbiegli, gdzieście wy zostali,
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj wielcy, a wy czemu — mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my was szukamy,
Bośmy może winniejsi...“

Idźmyż, o idźmy do chat, nie zaniebujmy pierwszej sposobności do wzajemnego poznania się, bez zwłoki wyciągnijmy ręce, niesmy swą zyczliwość tym, którzy, doznając dotychczas tak mało dobroci serc naszych, odnoszą się początkowo nieufnie, a przekonawszy się o szczerości, cenią głęboko i pamiętają nazawsze.

Aniela Chmielińska

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

URZĄDZANIE MIESZKANIA

Talentem, równym zdolnościom malarskim, czy muzycznym, jest dar umiejętności urządzania mieszkania. Nie można tego ująć w żadne przepisy, czy kanony, co koło czego postawić, co nad czym zawiesić. A jeśli nawet będzie się przestrzegało pewnych najogólniejszych wskazówek, to i to jeszcze każde zgrupowanie mebli i obrazków daje tyle możliwości, że bez pewnego rodzaju „wyczucia“ nie da się nic zrobić.

Są trzy zasadnicze kategorie ludzi. Pierwsi muszą i umieją zawsze, gdziekolwiek się znajdą, stworzyć wkoło siebie miłe, indywidualne ensemble. Czy to we własnym pokoju, czy w pokoju odnajętym, czy w parotygodniowej letniej siedzibie, w chałupie rybaka. Umieją oni dosłownie robić coś z niczego. Nie mówiąc już o samym ustawieniu mebli i zawieszeniu obrazów, czy firanek, ale często, mając je albo bardzo brzydkie, albo bardzo prymitywne, tak je ustawia, przysłonić, ozdobić potrafią, że powstanie bardzo miły, zaciszny kątek. Drudzy chcą, starają się robić to, co pierwsi, czują potrzebę zindywidualizowania otoczenia, ale nie mają ku temu wrodzonych zdolności. Zaś dobre chęci niezawsze wystarczają. Ci ludzie popełniają w dobrej wierze najstraszniejsze zbrodnie estetyczne. Z zapalem pielęgnują ohydy, z poświęceniem, z zaparciem się robią, nie wiedząc co. Trzeci — nie widzą zupełnie swego otoczenia, nie czują potrzeby nałamania wnętrza do swoich wygod przynajmniej, jeśli nie posiadają poczucia estetyki. Najbanalniejsze hotelowe urządzenie wydaje im się wysmienitem. Nie przychodzi im do głowy przesunąć stolik, czy fotel o metr dalej, aby uzyskać jakiś przyjemny kąt. Jeśli im to sami nie wpadli na ten pomysł wcześniej, najczęściej gniewają się, że się im psuje harmonję. Ci nieszczęśnicy patrzą latami na nagą ścianę z tapetą w czerwone róże na zielonem tle w złote paski, na upstrzony muchami kalendarz, wyobrażający maszynę Singera, czy reklamę dentolu, z zupełnym spokojem. Patrzą z zimną krwią, bo nie widzą brzydoty. Są oni bardzo biedni.

Mówiąc o wnętrzach, można je sobie wyobrazić trojaki. Pierwsze — to wnętrza historyczne. A więc mieszkanie, pełne antyków starych, często nadpsutych, niewygodnych, a jednak ślicznych. Mieszkanie, z którego nie można nic wyrzucić i nic nowego wstawić. Można je tylko przegrupowywać. Jest to wdzięczne i kłopotliwe zarazem. Chcąc zachować charakter muzealny, należy przeprowadzić ścisły przegląd posiadanych przedmiotów, i to do spółki z kimś, znającym się na rzeczy. Należy usunąć wszystko to, co ma wątpliwą wartość, co jest kopją późniejszą, ordynarnym naśladownictwem. Lepiej jest mieć jeden pokój „oryginalny“, niż trzy, w których zapłacze się Boull obok pociejowskiej szafy. Mieszkanie zabytkowe jest trudnym w życiu. Trzeba meble szanować, pielęgnować, a jednocześnie trzeba je używać nacodzień. Przy przenosinach, remontach, ogromnie ostrożnie trzeba dobierać tło, odpowiedniki przeróżne w obrazach i bibelotach. Jakże strasznie będzie wyglądała kanapka i foteliki rokoko o pociemniałych złoceniach, obite wyblakłym adamaszkiem, na tle wzorzystego, skądinąd

pięknego, ale w tej chwili krzyczącego brutalnie — kilimka łowickiego. Świetnem tłem do różnych antyków są łagodne w tonie, spokojne tynki kolorowe. Przy nich zawsze będą dobrze wyglądały bądź stare meble, bądź stare obrazy. Przemięłe są tony żółtawo-złote, błękitne, różowe i białe. Dobór zależy od oświetlenia pokoju (ciemnawym należy dać tony słoneczne od mebli, które staną). W mieszkaniu muzealnym trzeba się ogromnie pilnować, by nie popełniać przeróżnych wykroczeń przeciw pięknu. By nie kłaść za nowych, za kolorowych dywanów nowoczesnych, by nie wieszać brzydkich lamp. Rażąco wyglądają wtknięte w kryształowe, czy brązowe żyrandole elektryczne świece o białem świetle, bez umbrelki. Nie należy małych minjaturek wieszać za wysoko, by nie można było dojrzeć rysunku. Wielu, bardzo wielu rzeczy należy się wystrzegać. Do pewnego stopnia jest się niewolnikiem historycznego mieszkania, choć niewola bywa czasem miłą.

Drugim mieszkaniem będzie takie w którym znajdują się i zabytki, ale w niewielkiej, ilości i sporo przedmiotów nowych. Tu znów trzeba zwrócić baczną uwagę na to, by meble się nie gryzły wzajemnie. Gdy się ma w tym samym pokoju jednocześnie parę starych mebli, dajmy na to kanapkę, foteliki, stolik i sekretarzyk z hebanu, lub czeczotki, złożony, lub z laki — a obok nowoczesny garnitur, kryty brokatem, o miękkich, wygodnych linjach, to należy, w miarę możliwości, w układzie pokoju stworzyć kątek zabytkowy. Odosobnijmy koło okna palmą, czy paru wazonami część pokoju. Dajmy na ziemię stary dywan, ustawmy owe mebelki, zawieśmy parę minjatur i sztychów, a stworzymy miły fragment z przeszłości. Jest tysiąc i jeden sposobów na zgrupowanie mebli. Wchodzi w grę zazwyczaj ich jakość i ilość. Ma też znaczenie przeznaczenie mieszkania (np. salon adwokata, czy lekarza), układ pokoi, okien, drzwi, pieców, czy kaloryferów. Niema żadnych przepisów, trzeba czuć, jak się najlepiej ustawia meble, a gdy się nie czuje, trzeba się radzić ludzi kompetentnych. Wracając do mieszkania o niewielkiej ilości antyków, gdy musimy uzupełnić gabinet niekompletny, należy dobierać meble w możliwie najbardziej zbliżonym tonie, a więc takie same drzewo, ale nigdy nie robić kopji, nie obstalowywać nowych antyków, bo przy takim nowotworze zawsze zblednie staruszek, a on sam będzie raził, jak parwenjusz. Zrobmy najskromniejszy, ściśle w ramach potrzeby określony, mebel. Jakąś prostą szafę, czy biurko. Gdy dobierze się ten sam ton mahoni, czy dębu, odpowiedniość sama się stworzy. Można też ryzykować i obok antyków umieszczać skrajnie modernizmy. Ale wtedy trzeba bardzo wyrobionej ręki i wysokiej kultury.

Zygmunt Knothé.



W SPRAWIE DROŻYZNY

Z tą stroną drożyzny rzecz ma się całkiem inaczej, niż z poprzednią.

Gdy z drożyzną produkcji walczyć mogą tylko instytucje państwowe i tylko środkami, leżącymi w zakresie Państwa — rozpiętość cen zwalczać może samo społeczeństwo, wszelkie zrzeszenia, a nawet każda pojedyncza jednostka.

Prostu, unikajmy pośrednictwa!

Najwłaściwszą drogą do tego są, oczywiście, kooperatywy. Idealem byłoby dla nas, gdyby kooperatywa była jedynym pośrednikiem między producentem, a konsumentem, gdyby, biorąc towar wprost u źródła, mogła obniżyć jego cenę o cały zarobek dziesięciu, a może i więcej par pośredniczących rąk. Niestety, zainteresowanie ruchem współdzielczym nie wzrasta wśród nas w tym stopniu, jakby należało. Przytem ruch współdzielczy zawiódł, do pewnego stopnia pokładane w nim, ongi, nadzieje. Nie jego to, oczywiście, wina, a ludzi, którzy nie umieli się nim posługiwać, albo też służyli raczej interesom własnym, niż interesom ogółu. Niemniej zasada sama jest zdrowa i, rozwinięta dziś na wielką skalę, byłaby najpoważniejszym zaszachowaniem drożyzny. Jednakże, by kooperatywa sięgać mogła wprost do wytwórcy, rozporządzać musi wielkimi kapitałami, to znaczy, liczyć musi wielką ilość członków i mieć na czele ludzi o nieskazitelnym instynkcie dobra społecznego, oraz o wielkim doświadczeniu i pewnej intuicji handlowej, ludzi, umiejących oceniać koniunkturę, chwycić wlot nadarzające się sposobności itd.

Nadto, mimo swego dość dawnego początku, ruch współdzielczy nie umiał dotąd wytworzyć w masach polskich koniecznego dla siebie, psychicznego nastroju. Masy w Polsce nie mają dotąd żadnego zainteresowania dla drobnych zysków i dla drobnych oszczędności. Nie przemawia do nich grosz, zaoszczędzony na bochenku chleba, nabytym w piekarni współdzielczej. Wyobrażnia ich nie ogarnia tego grosza, pomnożonego przez ilość dni w roku i przez tysiące stowarzyszonych.

Mysł ich nie idzie w kierunku oszczędności groszowych na każdym kilogramie przedmiotów codziennego użytku. A propaganda w tym kierunku posuwa się leniwie, płynie, raczej, szemrzącym zcicha strumykiem podziemnym. Ruch współdzielczy w Polsce zestarzał się, zanim dojrzał, i dziś, gdy otwiera się przed nim najwdzięczniejsze pole walki z wyzyskiem i pasorzytnictwem, jest ociężałym, suwającym nogami, staruszkim.

Byłoby pożądanem, by ktoś wlał w niego nowe siły, by przywrócił mu rumieniec młodości i entuzjazmu. Tym elementem ożywym mógłby dlań być tylko świat kobiecy. Kobiety we wszystkich kooperatywach polskich są mniejszością, bo nawet, gdy rodzina korzysta ze współdzielni, to zapisanym członkiem jej, jest zazwyczaj ojciec rodziny; on też ma prawo głosu i krytyki, z których, przeważnie, nie korzysta, nie uczęszczając na zebrania. Niechaj tę obojętność zastąpi właściwy kobiecie zapał, pobudzany faktem, iż jest to dziedzina jej najbliższych, codziennych zainteresowań! Niech matki rodzin zapisują się na członkinie kooperatyw, niech wogóle masowo zapisują się do nich kobiety i niech naprawdę rządy w nich wezmą w swoje ręce. A gdyby to z jakichś względów było niemożliwe, gdyby nie warto było toczyć walki, niech zakładają kooperatywy własne, niech smoka dro-

żyzny, pozerającego dobrobyt domowy, zdrowie i siły ich dzieci, zwalczają własnymi, zbiorowymi siłami.

Oczywiście, wskazywać nawet nie potrzeba, że często i pojedynczej jednostce udaje się uniknąć pośrednictwa, trafić wprost do wytwórcy i zapewnić rodzinie tanie i obfite utrzymanie. Do tego celu można tworzyć doraźne spółki dla zakupu mięsa, nabiału, mąki, miodu itp. wprost u źródła.

Rodziny, mające dzieci w wieku szkolnym, mogłyby wspólnymi siłami nabywać wprost w fabrykach materiały na ubrania szkolne, czapki, obuwie, i t. d. Rozwińmy tylko nieco pomysłowości i energii, zamiast, założywszy ręce, biadać na nową Polskę, na Rządy w niej, na wojnę i różne inne nieuchwytne czynniki.

Oczywiście, najłatwiej byłoby robić to stowarzyszeniom, ale stowarzyszenia kobiece współczesne, z wyjątkiem niektórych, mało mają nerwu życia i odczucia istotnych, konkretnych potrzeb chwili, i interesów społeczeństwa.

Mógłby tu ktoś wystąpić z argumentem, że tępiąc pośrednictwo, odbiera się chleb ludziom, którzy z pośrednictwa właśnie żyją i utrzymują rodziny, ale to — argument, nie wytrzymujący krytyki! Nadmiar pośrednictwa — to zło społeczne, to choroba! Im więcej rąk zajmuje się pracą produkcyjną, tem bardziej wzrasta dobrobyt ogólny. Im więcej ludzi, nie produkując nic, utrzymuje się z pośrednictwa, tem bardziej zmniejsza się wytwórczość, a ceny produktów i towarów idą w górę.

Argumentującym za pośrednictwem, powiemy, że właśnie o to chodzi, aby ten nadmiar pośredników ściągnąć z ich uprzywiljowanego stanowiska pasorzytów społecznych, a zapędzić w szeregi producentów. Będzie to podwójną dla społeczeństwa korzyścią. Wyrazi się, bowiem, i wzrostem produkcji, i niższą ceną.

Nie powinniśmy zatem mieć pod tym względem żadnych skrupułów.

Tę sanację organizm społeczny w dużym stopniu już przeprowadził sam. Przypomnijmy sobie tylko: Przy końcu wojny i zaraz po wojnie trudnili się handlem wszyscy: rzemieślnicy i poeci, żołnierze i uczeni. Powoli, stopniowo handel począł wyrzucać ze swego łona tych improwizowanych pośredników. Wrócili do swoich warsztatów, katedr, stolików redakcyjnych i t. d. Dotychczas jednak pozostało aż nadto tych amatorów lekkiego chleba, założycieli i agentów różnych biur i domów komisowych, prowadzących Bóg wie, jakie tranzakcje i Bóg wie, jakimi pieniędzmi. Drogo nas kosztują tajemnicze ich obroty, i społeczeństwo i Państwo nie tracą na tem, jeśli ich jeszcze z kilka setek utonie w otchłaniach bankructwa. Oczywiście, nie mówimy o handlu solidnym, któremu należałoby tylko życzyć rozwoju i żywszego rozmachu. Obecny ustroj społeczny jest on warunkiem koniecznym. Stanowi arterję i żyły, które bogactwa ziemi i wytwory pracy człowieka rozchodzą się po całym organizmie społecznym, docierając do najdalejszych zakątków.

Jedną z najprzykrzejszych spraw powojennego życia ludzkości jest tak zw. „wzrost drożyzny”.

Czynniki natury materialnej i czynniki psychiczne są w naturze tego zjawiska tak splecione ze sobą, że niesłychanie trudno jest wydzielić jedno z drugich. Nad zagadnieniem tem suszą głowy najwytrawniejsi ekonomiści, nie znajdując na nie skutecznego środka. Gdyby przyczyną drożyzny były wyłącznie straty materialne, wywołane zniszczeniem wojennym, oderwaniem milionów rąk od pracy, zmarnotrawieniem gro-

madzonych przez stulecie blisko zasobów wszelkiego rodzaju, tedy drożyzna powinna była wystąpić najjaskrawiej w dniu zakończenia wojny, a następnie zmniejszać się z każdym rokiem, wmiarę powrotu do normalnych stosunków życia. Już przecież zaorano nieużytki, już produkcja rolna wraca do dawnych norm, już fabryki nawyrabiały nowych towarów, już, z wyjątkiem wschodu Europy, dawne szlaki wymiany funkcjonują. Mimo to, widzimy, że drożyzna nie spada, a, u nas, nawet wzrasta z każdym rokiem.

I zauważyć można, że na ten jej postępowy ruch, a, co najgorsze, na nagłe skoki, wpływają czynniki takie, jak brak zaufania do konjunktur politycznych, do takiego, lub owego rządu, do trwałości pokoju, do utrzymania waluty na stałym poziomie i t. d. Wpływa także i wzmożona po wojnie chciwość na wielkie i prędkie zyski. Jednym słowem, nic bardziej nerwowego nad drożyznę.

I wcale twierdzić nie należy, iż barometr jej skoków jest nieomylnym probierzem sytuacji politycznej. Przeciwnie!

Przypomnijmy sobie np. początek wielkiej wojny w Warszawie. Po paru dniach, nieznacznego zresztą, wzrostu drożyzny, wywołanego runem na sklepy z żywnością zaniepokojonej publiczności, nastąpiła znów zniżka. I nawet ku wiosnie, gdy coraz wyraźniejszym stawało się niepowodzenie Rosji, gdy potęga jej kruszyła się z każdym dniem, zaufanie świata handlowego do istniejącego u nas stanu rzeczy nie słabło, a przynajmniej na barometrze drożyzny znać nie było, że zbliża się jeden z największych w historii naszej przewrotów, a dziś... lada pogłoska — i już popłoch na giełdzie, a ze sklepów niknie towar; kilka dni deszczu — ceny idą w górę; kilka dni pogody — ceny idą w górę; mroz, odwilż, zmiana gabinetu wszystko może dziś być podniętą do gwałtownego zwyżkowania cen. Nie ulega wątpliwości, że w wielu wypadkach drożyzna udaje tylko nerwowość, korzystając z lada pretekstu, by podskoczyć i napełnić groszem kasy kupców i sklepikarzy. Klasycznym przykładem pod tym względem były czasy t. zw. „ruchomej monej”. Po 1-szym każdego miesiąca ceny szły w górę i utrzymywały się na tym poziomie dopóty, dopóki wszystek naddatek, wypłacony przez Państwo urzędnikom i wojskowym, nie przeszedł do kieszeni kupców, poczem znów lekko, bezboleśnie spadały.

Otóż na tę ekwilibrystkę drożyzny powinny być środki zaradcze, ale nie te, stosowane dziś przez Urzędy do walki z lichwą.

Otwarcie mówimy, że do urzędów tych nie mamy zaufania i dopóty mieć nie będziemy, dopóki sprawa ta znajdować się będzie wyłącznie w rękach mężczyzn. Walka, zwłaszcza z lichwą żywnościową, powinna być powierzona kobietom. Kobiety, wytrawne działaczki społeczne, jednostki nieposzlakowanego charakteru, niezmożonej energii postawcie na czele tych instytucji państwowych, przydzielcie im odpowiednio wyszkolone brygady policji kobiecej, a przekonacie się, że wszelkie tajemnicze składy ujawnią wam swoje sekrety, i żaden najdrobniejszy szczegół złowrogiego procesu drożyznianego nie ujdzie gospodarskiego oka urzędów kobiecych.

A dalej: Sprawą drożyzny zająć się powinny jaknajżywiej wszystkie stowarzyszenia kobiece. Referaty, dyskusje, oświetlanie zagadnienia z wielu stron, pobudzą umysły do pracy, do inicjatywy. Samo zainteresowanie się nią opinii publicznej uczyni już drożyznę ostrożniejszą i gwałtowniejszych wybryków nie dopuści.

Dotąd nie doceniamy ani potęgi pracy zbiorowej, ani potęgi opinii. A właściwie wszystko jest w naszej mocy, byleśmy tylko chcieli!

Rzucając tych kilka uwag, dotyczących jednej z najstraszniejszych klęsk naszego życia, nie uważamy bynajmniej tematu za wyczerpany, ani wypowiedzianych tu poglądów za nieomyślne.

Przeciwnie, pragniemy, aby wypowiedziały się głosy fachowe, choćby zbijające nasz sposób widzenia. Jest to bowiem tylko sposób widzenia przeciętnego obywatela, któremu dobro społeczeństwa leży na sercu.

C. r

PRACA SPORTOWA W HALACH GIMNASTYCZNYCH I W DOMU

Na podanych i wyjaśnionych w numerach poprzednich kilkunastu ćwiczeniach, wziętych ze szwedzkiego systemu Linga i mogących być bez trudu praktykowanymi w każdym pokoju — narazie poprzestaniemy. Ćwiczenia te, przerabiane regularnie i poprawnie, wywrą niezawodnie zbawienny swój wpływ zdrowotny i estetyczny.

Na zakończenie całości podamy jeszcze obecnie szereg wskazówek ubocznych.

Przy wykonywaniu opisanych ćwiczeń postępować należy rozsądnie. Mam tu na myśli przede wszystkim osoby, które po raz pierwszy do ćwiczeń tych się zaborą, mając już lat np. około 40. W tych wypadkach koniecznym jest uzyskanie porady lekarza-fachowca (np. w Poradni Sportowej w Warszawie). Organizm, przez szereg lat zaniedbany pod względem fizycznym, jest już nieco zmęczony, by nie powiedzieć — zużyty. Bezwzględnie, ćwiczenia gimnastyczne Linga są proste i spokojne i napewno dadzą wiele korzyści organizmowi, w ciągu lat np. 40 systematycznie zaniedbywanemu i nie trenowanemu. Temniemniej wszakże, głównie z początku, należy postępować ostrożnie, a zdanie lekarza jest bardzo ważne.

Przystępując do wykonywania opisanych ćwiczeń, należy ćwiczenia te stosować w zależności od zasobu własnych sił. Błędem jest dążenie do osiągnięcia jaknajszybciej pożądaných rezultatów, kosztem nadmiernego przemęczenia organizmu. Stan przetrenowania organizmu przekreśli zgóry wszystkie zamierzone rezultaty. Trzeba tedy przyjąć za podstawę następujący sposób postępowania: Zaczynać od ćwiczeń najprostszych i najłatwiejszych. Do ćwiczeń dalszych przystępować dopiero wówczas, gdy poprzednie zostały opanowane dostatecznie, gdy wykonujemy je swobodnie i poprawnie.

Dokonywać wtedy będziemy postępu w ćwiczeniach w sposób racjonalny, a zarazem ćwiczenia nowe, po dobrem opanowaniu poprzednich, wydadzą nam się dużo łatwiejsze do wykonania.

Ten sam sposób postępowania winien być przestrzegany przy stosowaniu ćwiczeń na jednym seansie. Z początku każde ćwiczenie wystarczy przerobić tylko kilka razy. Zczasem, kiedy wykonujemy ćwiczenie znacznie łatwiej i lżej, możemy stopniowo zwiększać ilość razy. Omawiana przez nas szwedzka metoda Linga poleca wykonywanie ćwiczeń dwa razy na dzień,

a mianowicie: rano i wieczorem. Przytem — nie należy wykonywać ćwiczeń zaraz po spożyciu śniadania, lub kolacji. Najlepiej odbyć swój seans poranny natychmiast po wstaniu, jeszcze przed umyciem się. Wieczorny zaś — przed kolacją. Niektórzy wskutek prowadzonego trybu życia nie są w stanie ćwiczyć przed kolacją i czynią to przed samem położeniem się do snu.

System ten nie jest specjalnie godny polecenia, ale w każdym razie znaczy on bezsprzecznie więcej, niż nic. W każdym razie przedewszystkiem nie zaniedbujmy naszych seansów porannych. Wieczorne — dla najrozmaitszych przyczyn — tak łatwo opuścić!

Ćwiczyć należy zawsze w pokoju dobrze przewietrzonym, a jeszcze lepiej — przy otwartych oknach. Oddychać głęboko w czasie ćwiczeń.

Co do kostjumu — należy polecić jaknajswobodniejszy i jaknajprostszy. Krótkie majteczki, nie uciskające w pasie, wygodna bluzka z krótkimi rękawami, wreszcie pantofle bez obcasów, na podszewie jakiegokolwiek: gumowej, sznurkowej, skórzanej, czy innej.

Po dokonaniu seansu gimnastycznym, doskonale jest wziąć prysznic. Jeśli to jest niemożliwe — należy choćby gąbką obmyć całe ciało.

Gdybyśmy chcieli zdać sobie sprawę, jak szerokie masy uprawiać mogą z pożytkiem ćwiczenia, w skład szwedzkiego systemu Linga wchodzące, moglibyśmy ustanowić zgruba cztery wielkie grupy:

Do grupy pierwszej zaliczylibyśmy olbrzymią liczbę młodych dziewcząt, nad wychowaniem fizycznym których pilnie czuwają rodzice i szkoła. Dziewczęta te szczęśliwie godzą swą pracę umysłową, wychowanie moralne i kulturę fizyczną.

Wszystkie te trzy czynniki wszechstronnego wychowania wzajemnie współdziałają w wydaniu typu, rozwiniętego harmonijnie pod każdym względem. Na dziewczętach tych przedewszystkiem opierają się nadzieje nasze, co do przyszłych zdrowych i pięknych pokoleń polskich.

Do drugiej grupy zaliczyć moglibyśmy znacznie mniejszą liczbę tych, które, pociągnięte urokiem sportów, pragną je uprawiać i dopracowywać się do poważniejszych wyników. Ćwiczenie gimnastyczne uważają więc za doskonały środek przygotowawczy.

Do grupy trzeciej zaliczymy panie, które uprawiają gimnastykę w równym niemal stopniu dla zdrowia, jak i dla celów estetycznych. Droga uprawiania ćwiczeń, zachować pragną ładną, smukłą sylwetkę, zręczność ruchów, oraz ogólną sprawność fizyczną. Liczba pań grupy trzeciej z roku na rok wybitnie wzrasta.

Wreszcie do grupy czwartej zaliczyć moglibyśmy dzieci, w stosunku do których ćwiczenia gimnastyczne Linga posiadają często niezastąpione wartości korektywne w ich rozwoju fizycznym.

Liczni adepci i adeptki systemu Linga, badając w ojczyźnie jego realne ślady wpływów opisanego przez nas systemu, zgodnie stwierdzają, że osiągnięte tym sposobem piękno ruchów, swoboda poruszeń, lekkość i zręczność dodają nieopisanego wdzięku do naturalnej elegancji kobiet. Zgodnie dalej stwierdzają, że „Szwecja zawdzięcza zdrowie i piękno swej rasy przedewszystkiem kobiecie szwedzkiej, wspaniale rozwijanej fizycznie od najmłodszych lat w szkole“. Opinii tej nikt nie zaprzeczył. Przeciwnie — nasz własny w tej dziedzinie dorobek i doświadczenie wskazują wyraźnie, że kultura fizyczna i racjonalne ćwiczenia gimnastyczne stanowią czynnik wychowaw-

czy niezmiernie cenny, zarówno z punktu widzenia higienicznego, jak estetycznego w dziedzinie symetrycznego rozwoju kobiety.

Pewien fancez, pułkownik Coste, w swoim czasie komendant sławnej szkoły gimnastyki i sportów w Joinville pod Paryżem, w następujący sposób mówi o szwedkach:

„Mimowoli wspomnienia moje wciąż wracają do Szwecji, gdzie w licznych salach gimnastycznych dziewczęta i kobiety szwedzkie chodzą, biegają, skaczą i wykonywują ćwiczenia z lekkością, swobodą i wdziękiem niezwykłym“.

System szwedzki, przeniesiony na teren Francji, wydaje wspaniałe owoce. Liczne pokazy w tej dziedzinie przekonały mnie dosadnie, jak wielką wartość posiada racjonalne wychowanie fizyczne kobiety dla ideałów piękna, zdrowia i siły, dla przyszłości rasy francuskiej.

Na zakończenie dodajmy, że system gimnastyczny Linga uwzględniany jest w szerokim zakresie przez wszystkich instruktorów i instruktorki, działających na terenie naszych klubów sportowych. Przypomnijmy tedy raz jeszcze, że panie, pragnące uprawiać gimnastykę pod fachowym kierunkiem, mogą znaleźć go w następujących klubach sportowych stolicy: Warszawski Klub Wioślarek, Grażyna, Akademicki Związek Sportowy, Polonja, oraz w szkole gimnastycznej p. Olszewskiej.

W ostatnich tygodniach powstała w Warszawie nowa placówka sportowa pań. Mianowicie — przy Wojskowym Klubie Sportowym „Legja“ zorganizowana została Sekcja Pań, która już rozpoczęła zimową zaprawę gimnastyczną pod kierunkiem instruktora p. Ciszewskiego.

Lekcje gimnastyki odbywają się 3 razy tygodniowo w godzinach wieczornych w sali gimnastycznej gimnazjum p. Lorentza.

Zapisy na członkinie do nowoutworzonej sekcji przyjmowane są na lekcjach gimnastyki w poniedziałki, środy i czwartki od 8 — 9 wieczorem, Bracka 18. — Warunki: 3 zł. wpisowe, składka miesięczna — 1 zł.

Jak widzimy — zdrowy i silny pęd ze strony młodych kobiet w kierunku wychowania fizycznego przyczynia się do powstawania coraz nowych placówek.

K. M.

Już wyszła z druku

oczekiwana przez tysiące pań książka

Dr. med. Julji Świtalskiej p. t.

„PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY“ (Higjena kosmetyczna)

Nieocenionej wartości zbiór najważniejszych wiadomości z zakresu higieny kobiecej, nauka masażu twarzy, biustu etc.

Cena egz. 5 zł.

Wysyłka tylko po nadesłaniu należności,

Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, Warszawa, Krak. Przedm. 99.
Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555.

PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Omawiając wszystkie dolegliwości jamy brzusznej, trzeba pamiętać, jeśli się niema pewności, z jakiego rodzaju cierpieniem ma się do czynienia, najlepiej ograniczyć się do podania gorącej herbaty z cytryną, na brzuch zaś gorących okładów, i zastosować bezwzględną dietę. Dopiero przybycie lekarza rozstrzygnie, jakiego rodzaju leczenie należy zalecić. Postępując w ten sposób, ma się pewność, że się nie przyniesie szkody, tylko sprawi choremu chwilową ulgę. Na przeczyszczenie zaś podawać tylko w wyraźnych objawach niestrawności, by nie wywołać poważnego powikłania. Poza to bóle w jamie brzusznej w dolnej okolicy mogą być spowodowane cierpieniami organów płciowych. Najczęściej występują takie bóleści podczas menstruacji. Co 28 dni jajeczko, gotowe do zapłodnienia, przedostaje się z jajnika przez trąbki do wnętrza macicy. Zwykle temu procesowi przed, lub w czasie, towarzyszy przekrwienie macicy i wydostawanie się krwi na zewnątrz. Proces ten fizjologiczny może odbywać się raz na 4, wyjątkowo na 6 i 8 tygodni. U zdrowych i normalnych kobiet powinien być bezbolesny. Przy anemji, zapaleniach organów płciowych, nieprawidłowej budowie, mogą występować bóle bardzo silne i wyczerpujące chorych. Należy wtedy unikać zaziębienia, zaparcia stolca; w takich wypadkach wewnątrz można podawać belladonę i gorącą herbatę — na zewnątrz okłady gorące i naparzanie z gorącego rumianku. Przy menstruacji mogą występować wybitne krwawienia — wtedy to konieczne jest udanie się do lekarza specjalisty. Niekiedy występują silne bóleści w dolnej części brzucha, nieraz wielkie odchodzą skrzepy, bywa przytem zwykle zatrzymanie miesiączki. Wtedy to można podejrzewać, że ma się do czynienia z poronieniem, które daje nieraz tak obfite krwawienia, że chora może skończyć życie przed przybyciem lekarza. Niestety pomoc nagła, niefachowa w tym wypadku małe może dać wyniki. Należy chorą ułożyć na łóżko, dać lód na brzuch i lewatywę z letniej wody z paru kroplami opjum i oczekiwać na pomoc lekarza. Są to jedyne wskazówki, które w danym wypadku mogą być zalecane.

W obecnych czasach, w mieście, pomoc lekarska jest tak powszechna, że rzadko może się okazać późną przy nagłym porodzie. Zupełnie inne warunki, niestety, przedstawiają się na prowincji, zwłaszcza na wsi. Przy nagłej pomocy przy porodzie pierwszą zasadą jest zachowanie czystości wobec matki i noworodka, a więc, przystępując do ratunku, należy umyć ręce bardzo starannie w płynie dezynfekującym. Następnie ułożyć rodzącą na czystym prześcieradle i w momencie, gdy dziecko już na świat przyszło, przewiązać mu pępowinę w odległości 7 centymetrów w dwóch miejscach — w środku przeciąć, aby niemowlę odłączyć od matki. Następnie wyczyścić watą, lub chusteczką do nosa buzię ze śluzu, ażeby się maleństwo nie udusiło. Samo dziecko wytrzeć oliwą i zawinać ciepło. W razie, gdyby nie oddychało, należy uderzyć kilkakrotnie w pośladki, aż krzykiem da znak życia, następnie zwrócić uwagę na stan matki.

Płód rodzi się z łona matki wraz z łożyskiem. Łožysko są to błony płodowe, które przy urodzeniu płód przebija, a sam jest połączony z błonami zapo-

mością pępowiny, przez którą czerpie pokarm. Z chwilą, gdy dziecko się rodzi, łożysko wraz z pępowiną musi wyjść na zewnątrz, odkleiwszy się od ścian macicy; łożysko wychodzi po kilku sekundach, lub kilkunastu minutach. Jeśli są bóle dalsze, a łożysko nie odeszło, to lekko trzeba masować dolną część brzucha nie wolno pociągać za pępowinę, lecz masować i czekać.

W tym momencie wyjścia łożyska może przyjść do krwotoku i jeśli na miejscu niema fachowej pomocy, groźba śmierci wisi nad położnicą.

Niestety, u nas w społeczeństwie jest pod tym względem zupełna nieświadomość i lekceważenie porodu. Podaje się przykłady, że kobiety z ludu rodzą bez pomocy i jest dobrze. Nie zdajemy sobie jednak sprawy, ile ofiar chłoną te porody bez pomocy i bez stosowania aseptyki. Wielki uczone i dobroczyńca świata kobiecego profesor dr. Zemelwajs ma nieocenione zasługi w kierunku uświadomienia o konieczności przestrzegania przy porodzie aseptyki.

Nigdy nie można przewidzieć, jakie najprawdopodobniej poród może dać niespodziewane komplikacje. Lepiej jest zawezwać lekarza, by był jedynie widzmem, niż, w razie potrzeby, tracić chwile drogie na szukanie fachowej pomocy.

Właściwie pomoc domowa polegać powinna na przygotowaniu pokoju (usunięciu niepotrzebnych mebli, portjer, dywanów), przygotowaniu łóżka, bardzo dużej ilości bielizny pościelowej i podkładów, nagrzaniu dużej ilości wody do kąpieli, podaniu lewatywy. Po za tem rolę swą trzeba ograniczyć do dawania otuchy chorej i oczekiwać przybycia siły fachowej.

Nie wolno pomagać czynnościom porodowym, nie wolno manipulować niefachowym rękami przy tak poważnym i ciężkim procesie, jakim jest poród. Nie zapominajmy, że jest to proces naturalny, fizjologiczny i że dziecko urodzi się przy normalnych warunkach samo, a niepotrzebne badanie i pomaganie może pociągnąć za sobą dla rodzącej opłakane skutki.

Wrazie niemożności korzystania z pomocy prywatnego lekarza, należy przełamać przesady, i porody odbywać na klinikach i po szpitalach

Pomoc przy nagłym porodzie powinna, mojem zdaniem, ograniczyć się do minimum; natomiast przełamanie opinji i uświadomienie społeczeństwa o niebezpieczeństwie, możliwym przy każdym porodzie, będzie najlepszą i pełną gwarancji pomocą dla świata kobiecego.

Poza to bardzo ciężkie niespodzianki mogą dać krwotoki wewnętrzne, np. przy pęknięciu jelit, przy wrzodach żołądka i jelit, lub tyfusie; wreszcie bywają wypadki u kobiet tak zwanej ciąży pozamacicznej, która polega na zapłodnieniu jaja nie w macicy lecz poza nią w jamie brzusznej: płód rośnie do pewnej wielkości, wreszcie pęka i powoduje krwotok wewnętrzny.

Wszystkie tego rodzaju krwotoki dają objawy osłabienia, zblednięcia, omdlenia i śmierci — na zewnątrz nie okazuje się ani kropla krwi. Niestety, tutaj prócz ułożenia spokojnie chorego i zawezwania jak najszybszego lekarza — nie ma się możliwości pomocy choremu.

Dr. med. Julja Świtalska.





KISZKI Z DROBNEJ KASZKI

W sezonie bicia wieprzy, ten rodzaj kiszki, bardzo smacznych, lecz mniej znanych od zwykłych podgardlanych i czarnych, z grubej kaszy gryczanej robionych, może być miłym urozmaiceniem. Około półtora kilo podgardla i całe płuca z młodej, niedużej sztuki ugotować na miękko z kilku cebulami, listkiem, pieprzem, zielem, gdy zupełnie zmiękną, wyjąć, ostudzić, przepuścić przez maszynkę. Wrzącym rosółem z tego mięsa zaparzyć kilo drobnej kaszki krakowskiej (maczku), wymieszać dobrze, przykryć pokrywą, wstawić w niezbyt gorący piec, aby tam dobrze napęczniała. Wymieszać tę kaszę z siekanym mięsem, dodać jeszcze parę łyżek świeżego szmalcu, ze dwie cubule, uduszone na biało w szmalcu, (można dodać i te, co się w rosole gotowały, im więcej przetartej cebuli, im tłustsze te kiszki, tem są smaczniejsze). Posolić, opieprzyć, dodać parę goździków utłuczonych, pół utartej gałki muszkatołowej, łyżeczkę utartego majeranku, wymieszać doskonale. Napełniać tem do trzech ćwierci czyste kiszki wieprzowe. Zawiązać mocno końce, lub spiąć drewnianymi patyczkami, gotować w dużym naczyniu, aby swobodnie pływały. Gotować na wolnym ogniu, aby nie popękały, gotując pół godziny od chwili zagotowania. Gdy wystygną, (z wody wyjmować gorące), wynieść na chłód, powiązać parami i powiesić na kijku. Przysmażać do zrumienienia z obu stron na szmalcu, lub topionej słoninie, krajać na ukos w plastry i podawać z sałatą z czerwonej, lub kwaszonej, białej kapusty. Ten rodzaj kiszki jest tak smaczny, że można je podawać zimne, porajane w plastry do przekąski.

PULARDA NADZIEWANA.

Nadziewając drób przed pieczeniem, mamy zwykle na celu zrobienie go podzielniejszym, — jednak osiągamy zwykle jeszcze cel inny: mianowicie, jeżeli nadzienie jest smaczne, dodajemy daniu smaku i jeżeli nadziewamy nietylko wewnątrz ptaka, lecz jeszcze i podgardle pod skórą, mięso piersi pozostaje po upieczeniu soczystsze, delikatniejsze. Na nadzienie jednej dużej pulardy należy wziąć jej wątróbkę, (nigdy nie używać do nadzienia żołądka, jak to podają niektóre książki kucharskie; nawet najdrobniej usiekany, daje w nadzieniu twarde, przykre do jedzenia, kawałki). Pół kilo tłustej, białej cielęciny, ćwierć kilo młodej słoniny, tę wątróbkę i trzy bułeczki (warszawianki), wymoczone w mleku, przepuścić przez maszynkę, osolić, wbić dwa jaja, dodać gałki muszkatołowej, garstkę zielonego koperku, (w braku świeżego, użyć łyżkę suszonego), wyrobić doskonale. Nadziać tem pulardę przez skórę od szyjki, podnosząc zrzęcznie skórę na piersiach, aby farsz jaknajdalej zaszedł. Wyjdzie na to połowa farszu. Drugą połowę włożyć

we środek, także włożyć żołądek i serce pulardy. Piec w piecu na brytfannie, polewając masłem i paru łyżkami rosółu, — lub też dusić w rondlu, rumieniąc narazie na maśle, potem podlewając rosółem. Po przekrajanu pulardy i ułożeniu na półmisek, sos pozostały na brytfannie, lub w rondlu, zagotować z kilkoma łyżkami rosółu, przecedzić przez sitko, częścią polać pulardę, resztę podać w sosserce. Do tego odpowiednie są wszelkie sałaty zielone, borówki smażone i kompoty.

SUFLET ORZECHOWY

Dwadzieścia deka orzechów włoskich, tureckich, lub laskowych oczyścić z łupin, przepuścić przez specjalną maszynkę, lub utłucjaknajdrobniej w moździerzu, zmieszać z pół szklanką drobno utartej bułeczki. Pięć żółtek utrzeć do białości z pięciu dużymi łyżkami cukru, dodać orzechy z bułką, rezerwać razem doskonale. Metalowy półmisek, lub lepiej ogniotrwałą, porcelanową formę, którą można podać na stół, wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, ostrożnie wymieszać z orzechową masą, przełożyć w formę, (jeśli zapiekamy na półmisku, ułożyć w ładną kopułę i ukarbować mokrą łyżką), wstawić w niezbyt gorący piec na dwadzieścia minut, do pół godziny. Do takiej leguminy podaje się zimną śmietankę, lub mleko.

Pani Elżbieta.

KĄCIK GOSPODARSKI

JAK NALEŻY PRAĆ RADIONEM

II.

(dalszy ciąg z Nr. 6 z dn. 5. II.)

Do zimnego rozczyngu Radionu wkłada się bieliznę, która nie powinna leżeć w kotle skrecona, ani ściśnięta, aby rozczyng mógł wszędzie dokładnie przeniknąć. Rozczyngu musi być tak dużo, by przykrywał całą bieliznę.

Zawartość kotła, (zamkniętego pokrywą) gotuje się na wolnym ogniu, a po doprowadzeniu do wrzenia, gotuje się jeszcze 15 — 30 minut — w zależności od stopnia zabrudzenia. Podczas gotowania należy bieliznę mieszać często tak, aby rozczyng przeniknął do wszystkich fałdek. Na czas gotowania należy zwrócić baczną uwagę.

Wygotowaną bieliznę pozostawia się przez czas jakiś w rozczyngu Radionu, aby umożliwić całkowite rozpuszczenie brudu. Odnosi się to specjalnie do bielizny silnie zabrudzonej i poplamionej.

Przez wygotowanie bielizna już jest dokładnie wyprana i dalsze szcztokowanie, lub tarcie jej, jest zbędne.

Jeżeli bielizna włożona była do kotła zbyt ciasno, to może się zdarzyć, iż w fałdkach pozostaną smugi brudniejsze. Wystarczy zanurzyć kilkakrotnie sztuki brudniejsze w rozczyngu Radionu i przeprać zlekka w ręku brudniejsze miejsca.

Dalszy ciąg nastąpi. Wyciąć i zachować.

DOBRE RADY

Przedmioty z lanego żelaza pęknięte uważane są za niezdatne do użytku, tymczasem łatwo naprawić je można. Wziąć 2 części salamonjaku, 1 część siarki i 16 części opiłków żelaznych, i dokładnie zmieszać. Rozproszkowanie i zmieszanie tych składników najlepiej uskuteczyć w starym moździerzu. Masę przechowywać w suchym miejscu, żeby się nie zrobiła wskutek wilgoci jedna grudka. Wrazie potrzeby wziąć na jedną część tej masy jeszcze 20 części opiłków żelaznych i wodą zarobić na gęste ciasto. Uszkodzony przedmiot prędko smarować tem ciastem, mocno ścisnąć i trzymać, dopóki nie stwardnieje, co prędko nastąpi.

* * *

Wziąć wapna niegaszonego, utłuc i przesiał przez muslin. Rozbić białko tak, aby się nie ciągnęło razem, wymieszać z wapnem na gęstą masę. Bardzo prędko, gdyż masa sztywnieje, posmarować stłuczoną rzecz, złożyć ze sobą, trzymać, nie poruszając, z dziesięć minut, następnie wstawić do wolnego pieca i nie wyjmować, aż za kilka godzin. Jeżeli porcelana nie była jeszcze niczem sklejana, będzie się trzymać, jak nowa. Można zamiast wapna wziąć skorupkę od ostrygi — spalić, utłuc, przesiał i używać dalej rozmieszawszy proszek na masę z białkiem, jak wapno. Dalszy proces zupełnie, jak wyżej.

KORESPONDENCJE

Pani P. A. w Dobrowoli. Może spirytus, użyty przez Panią był za słaby, albo warunki nie sprzyjające zwinieniu się włosów. Miejscowość wilgotna, pora dżdżysta wpływają bardzo na skręcenie się włosów, także rodzaj włosów dużo znaczy. Jeżeli włosy są miękkie, proste po zmożeniu podzielić je na dość grube pasma i nawinąć na grube podwójne szpilki zasuwane, specjalne do karbowania włosów; jak wyschną, będą się ślicznie falowały.

Pani S. F. Grodno. Dużo jest pierwszorzędnych lekarzy ginekologów w Warszawie, jest to przeważnie kwestja zaufania. Ogólnem odznaczają się: dr. Anteki, Wspólna 15 i dr. Chodakowski, Kopernika 14.

Najlepsze odkurzacze są firmy „Elektrolux“, Warszawa, Warecka 5.

Nauczycielce — Częstochowa. Zaczerniałe palce i ręce nacierać sokiem cytrynowym, albo barszczowinami, pozostałymi od kwaszenia żuru, następnie smarować gliceryną, lub poprostu świeżym wieprzowym smalcem. Kto ma, może używać cold-creamu. Najlepiej nie dopuścić do zaczernienia palców, kładąc stare rękawiczki na ręce. Gdyby było możliwe, to dostać do takich zajęć cienkie gumowe rękawiczki, które wcale nie przeszkadzają przy robocie i dadzą utrzymać się czysto.

Pani Z. G. Fryszka. Skóry łosiowej, z której robią myśliwskie kurtki dla panów, nie trze się nigdy i nie pierze w gorącej wodzie, bo stwardnieje, ale rozgotowawszy mydła barskiego lub Luxu, — albo korzeni mydlika, płyn ostudzić i zaledwie letnią prac szcztoką rozłożone na prześcieradle ubranie. Spłókać letnią wodą, wycisnąć grubem prześcieradłem z wilgoci nie wycierając, ale zbierając wydostającą się wodę, coraz to świeżym kawałkiem płótna. Suszyć powoli, w cieniu, rozłożone na prześcieradle, dosuszać można powieszzone na sznurze, byle nie w zbyt niemożliwym gącu, ani na słońcu.

Pani Z. K. Płock. Wałki zamiast poduszek kraje się podług rozmiarów łózka. Wziąwszy miarę szerokości łózka, skroić odpowiednie 2 koła, połączyć je prostym kawałkiem, nie zeszytym w środku, napchać pierzem, lub włosiem, jeżeli kto lubi twardą poduszkę. Po napchaniu zeszyć środek na okrętkę. Poszewki kraje się w ten sam sposób, tylko trochę obszerniejsze, jak wspanka, przyszywa się prosty pas do kół, formujących boki poszewki, środek wykończy się, jak obręby u poszewek zwyczajnych, przyszywając guziczki do spodniego obrębu, a dziurki robiąc w wierzchnim

Pani Niuśce w Górach. Wspanki, jeżeli w dobrym gatunku, gęste, nie potrzebują nacierania, w przeciwnym razie trzeba je nawoskować po lewej stronie kawałkiem rozgrzanego trochę wosku. Roboty, wykonane igłą włoską, o tyle są niepraktyczne, że po praniu brzydko wyglądają, trzeba je robić w kolorach ciemnych, nie smolących się. Cena flaszeczki „Mój płyn“ jest 4 zł. Na zasychanie w gardle trzeba szukać rady u lekarza, może to bowiem być wskutek wewnętrznej przyczyny.

Sosnowiczance. Szczegółowych informacji zasięgnie Sz. Pani w biurze podróży Orbis, Warszawa, ul. Widok Nr. 8, albo w Tow. Wagonów Sypialnych, Warszawa, Hotel Bristol, w którym dostanie Pani bezinteresownie prospekty z cenami hoteli i pensjonatów znaczniejszych miejscowości kuracyjnych.

Pani Ewelinie. Popielawy. Aluminjowe naczynia czyści się proszkiem „Czystolinem“, albo poprostu gliną. Platerowane trzonki od noży dobrze jest czyścić płynem „Sidel“, albo kredą z amoniakiem, następnie wycierać irchą, lub miękką ściereczką. Meble koszykowe myć wilgotnym gałgankiem, maczanym w słonej wodzie; jeżeli bardzo brudne i trzeba użyć mydła, rozgotować barskiego mydła, lub Luxu, ostudzić, dodać soli, nacierać meble, następnie spłókać prędko. Wytrzeć dosucha i trzymać w cieniu, póki zupełnie nie wyschną, inaczej żółkną. Siatkę robi się specjalną igłą na linijce. Trudno jest ustrzec domowemi środkami włosy od ciemnienia. Jeżeli Pani ma blond jasne, trzeba myć rumiankiem, a zamiast mydła używać żółtka. Alkohol jest to najmocniejszy i najczystszy spirytus. Skręcanie się włosów zależy bardzo od warunków: jeżeli miejscowość jest wilgotna, albo pora dżdżysta, włosy nie chcą się zwinąć.

KSIĄŻKA

p. t.

„WZOROWA PANI DOMU“

zawiera zasady praktycznego i wykwiutnego prowadzenia domu i przyjmowania gości.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99,
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

KSIĄŻKA

p. t.

„KUCHNIA DZIECIĘCA“

podaje potrzebne dla każdej matki sposoby racjonalnego i zdrowego odżywiania dziecka.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99,
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40, Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.